

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

NR 32 (1448) 7 SIERPNIA 1988 R. CENA 38 ZŁ

ISSN 0127-8207

INDERS 4777

W NUMERZE:

„Bliscy przyszli powstrzymać Go” ●
Św. Wawrzyniec – fakty i legenda ●
Z życia Kościoła ● Wietnice, czyli ratu-
sze w miastach polskich ● „Rodzina” –
dzieciom ● Porady



Wakacje w całej petni...



LEKCJA

z I Listu
św. Pawła Apostoła
do Koryntian (15, 1—10)

Bracia: Przypominam wam, bracia, Ewangelię, którą wam głosiłem i którą wy przyjęliście w której trwacie. Przez nią też zbawieni będziecie, jeśli ją zachowacie, taką jaką wam ogłosiłem: chyba żeście nie próżno uwierzyli. Bo na przód podałem wam, com też otrzymałem, że Chrystus umarł za grzechy nasze według Pisma, że ukazał się Kefasowi, a potem jedenastu. Potem widziało Go jednocześnie więcej niż pięciuset braci, z których wielu żyje dotychczas, a niektórzy pomarli. Potem ukazał się Jakubowi, potem wszystkim Apostołom. A w końcu po wszystkich niby poronionemu płodowi, ukazał się i mnie. Bom ja jestem najmniejszy z Apostołów, niegodny zwać się Apostołem, iżem prześladował Kościół Boży. A z łaski Bożej jestem, tym czym jestem i łaska Jego na próżno nie była mi dana.

EWANGELIA

według
św. Marka (7, 31—37)

Onego czasu: Jezus, wyszedłszy z granic Tyru, przez Sydon przyszedł nad Morze Galilejskie poprzez granice Dekapolu. I przywieziono Mu głuchego i niemego, prosząc Go, aby włożył nań rękę. A wzięwszy go na bok, z dala od rzeszy, włożył palce swoje w uszy jego, a śliną swą dotknął języka jego i wejrząwszy w niebo westchnął i rzekł do niego: Effetha! to znaczy: Otwórz się. I natychmiast otworzyły się uszy jego i rozwiązały się więzy języka jego, i mówił dobrze. I rozkazał im, aby nikomu nie powiadali. Ale im więcej im nakazywał, tym więcej jeszcze rozgłaszali, i tym bardziej zdumiewali się mówiąc: Dobrze wszystko uczynił, i głuchym sprawił, że słyszą, i niemym, że mówią.

Przed tygodniem rozważaliśmy niezwykle ważny fakt w misyjnej działalności Chrystusa: wybór Dwunastu Apostołów. Św. Marek nie nazywa wybrańców Apostołami, w swojej zwartej relacji mówi o nich: „wybrał Dwunastu”, a następnie wylicza ich imiona. Chrystus od początku swojej publicznej działalności konsekwentnie realizuje zamiar budowy Królestwa Bożego, a zgromadzone wokół Niego rzesze miały w tym przedsięwzięciu współuczestniczyć. Wielu ludzi przyjęło naukę Nauczyciela z Nazaretu. Im się wydawało, że to oni wybrali sobie Chrystusa na Mistrza. W rzeczywistości to On dokonywał wyboru. Dał temu wyraz, gdy powołał swoich pierwszych uczniów: Szymona, Andrzeja, Jakuba, Jana i Mateusza, a już nie pozostawia najmniejszej wątpliwości, kto podjął decyzję, w omawianej przed tygodniem scenie powołania Dwunastu.

Jezus przeznaczył Dwunastu do niesłychanie ważnych zadań w budowie Królestwa Bożego, którego widzialną częścią na ziemi jest Kościół Chrystusowy. Apostołowie i ich następcy będą filarami Boskiej Budowli. Muszą stanowić szczególnie wyselekcjonowany i uodporniony na wiele przeciwieństw

nie, jeśli nie uda im się osiągnąć niebezpiecznego Nauczyciela.

Chrystus spieszył się, by możliwie największa rzesza usłyszała z Jego ust Dobrą Nowinę, że Królestwo Boże właśnie nadchodzi. W nim ludzie uzyskają zbawienie. Naród Wybrany oczekiwał wybawienia. Ale tłumaczono sobie nadejście nowych czasów zbyt po ziemsku. Mesjasz w ich marzeniach miał stać się odnowicielem doczesnej potęgi Narodu Wybranego, miał zapewnić dostatek dla swoich poddanych, a z Izraelitów zrobić panów władających innymi narodami. Mesjasz będzie mocą otrzymaną od Boga leczył chorych. Jezus dysponuje mocą Bożą, uzdrawia, niesie radość. Ma za zadanie zbudować Królestwo, ale jakże odmienne od oczekiwań ziemskich. Chce leczyć ludzkie niemoce i leczy, ale nacisk kładzie na wartości duchowe. Usuwa kalectwo fizyczne, ale nie czyni tego celem swej misji. On chce leczyć dusze, oczyszczać serca z grzechu i wlewać w nie swego Ducha.

Chrystus nie potępia tego co ziemskie, ale zachęca do odkrycia wyższych wartości, wartości nadprzyrodzonych, umożliwiających

„Bliscy przyszli powstrzymywać Go”

materiał. Wszystko jest pięknie w dniach pomyślności, gorzej gdy przyjdą wichry i spadną gwałtowne deszcze. Podczas prób kruchy materiał ulegnie zniszczeniu. Ulegnie zwłaszcza wówczas, gdy będzie zbyt po ziemsku patrzył na zadania Kościoła, albo przestanie liczyć na pomoc Chrystusa. W sprawach nadprzyrodzonych nie wystarczy kierować się zdrowym rozsądkiem, tu rozum i serce musi mieć wsparcie wiary, nadziei i miłości, których źródłem jest Duch Chrystusa. Ludzie, którzy pozwolą Duchowi Świętemu kierować sobą, nie zawsze będą akceptowani przez otoczenie. Jedni będą ich podziwiali, inni uważać za maniaków, a nawet szaleńców. Ta druga reakcja nie musi mieć złośliwego podłoża.

Roztropność ziemską każe patrzeć na wszystko przez pryzmat zysku: Co ja z tego będę miał? Jeśli zysk jest problematyczny, rozsądek dyktuje, by odstąpić od takiego działania. Tak właśnie postąpili bliscy Chrystusa, gdy zauważyli, że nie ma On czasu nawet posilić się, lecz nieustannie służy sprawie. Chcą Jezusa powstrzymać, by się nie spieszył i nie narażał, chcą Go uchronić przed niebezpieczeństwem. To chwalebny gest. Czynią to zapewne także w troce o własne bezpieczeństwo. Rozwścieczeni wrogowie Chrystusa mogą mścić się na rodzi-

jednoczenie się człowieka z Bogiem. Człowiek dopiero wtedy poczuje się naprawdę szczęśliwy, gdy Bóg zamieszka w jego sercu. Chrystus uczy, że to Królestwo narodzić się musi we wnętrzu człowieka, objawiając się służbą Bogu i bliźnim. Każda wielka idea wymaga sporych wyrzeczeń. Muszą się znaleźć ludzie oddani sprawie bez reszty. Tak rodziły się przełomowe odkrycia, wynalazki, zdobycze techniczne. Wszystko okupione ofiarami „szaleńców”, którzy nawet najbliższym nie dali się sprowadzić z obranej drogi

Krewnym Jezusa nie uda się odwieść Go od realizacji woli Ojca niebieskiego. Będzie płonął ogniem gorliwości i miłości tak wielkim, aż rozpali powszechną miłość tam, gdzie dotąd panował niepodzielnie grzech. Pomogą Mu w tym zastępy podobnych gorliwców, czasem lekceważonych, czy nawet prześladowanych. Nie brakuje ich w żadnym wieku, w żadnym pokoleniu i narodzie. Będą nieustannie przypominać, że celem ludzkości jest życie wieczne w Królestwie niebieskim, które Chrystus wysłużył dla wszystkich. Będą prostować błędne opinie i sprzeciwiać się pokusom uczynienia z Kościoła doczesnej, czysto ziemskiej potęgi. Wszystko zniosą w imię Boga.

Ks. A.B.



Piotr Stachiewicz znany jest przede wszystkim ze swej twórczości religijnej. Toteż w spuściźnie artystycznej pozostawił on — między innymi — również wspaniały cykl, znany pod nazwą „Rok Boży”. Ilustruje w nim artysta przysłowia, mające zastosowanie do poszczególnych miesięcy roku. A przyznać trzeba, że na płótnach z tego cyklu niezwykle trafnie uchwycił on rzewną poezję duszy ludu polskiego, uwidaczniającą się w przysłowiaach ludowych. Jako patrona miesiąca sierpnia przedstawia malarz św. Wawrzyńca oraz przysłowie z jego uroczystością związane.

Na obrazie tym ukazał Stachiewicz młodego, opalonego na twarzy mężczyznę, ubranego w liturgiczne szaty diakona; w tym również w wyblakłą dalmatykę niewiadomego koloru, jakie nieraz spotkać jeszcze można w zakrystiach naszych wiejskich kościołów. Dźwiga on w swych rękach pożyźny wieniec dożynkowy, sporządzony z dorodnych, złocistych kłosów zbóż oraz polnego kwiecia. Treść obrazu stanowi więc nawiązanie do znanego przysłowia ludowego:

*„Święty Wawrzyniec
Niesie z pola wieniec”.*

Święty ten jest bowiem patronem i opiekunem znojących zniw, które właśnie w miesiącu sierpniu dobiegają końca.

Tak się składa, że życie św. Wawrzyńca jest na ogół mało znane. Dlatego też, w opracowaniu niniejszym, postaram się przybliżyć nieco jego postać w oparciu o fakty i legendy z nim związane.

Imię Wawrzyniec wywodzi się od łacińskiego „Laurentius”. Utworzone ono zostało od „Laurentium” — nazwy miasta w starożytnym państwie rzymskim. Stąd znaczyło pierwotnie: „Człowiek (pochodzący)

Św. Wawrzyniec

— fakty i legenda

z Laurentium”. Imię to oznacza również „laur” lub „wawrzyn”.

W Polsce imię to znane jest od czasów średniowiecza. Najpierw w jego łacińskiej formie jako „Laurentius”, a następnie pod wpływem języka czeskiego (w wyniku tzw. „odpodobnienia”) jako Wawrzyniec, a nawet Wawrzon. Przyznać należy, że obydwie polskie formy wiernie oddają symboliczne znaczenie tego imienia.

Św. Wawrzyniec jest na pewno postacią historyczną. Wiadomo o nim, że był diakonem w Rzymie oraz że poniósł śmierć męczeńską w roku 258 za cesarza Waleriana. Pozostałe wiadomości (w przeważającej części legendarne) zaczerpnięte zostały z anonimowego „Opisu męczeństwa św. Wawrzyńca” oraz z poematu Prudencjusza „O koronach męczenników”.

Dowiadujemy się z nich, że Wawrzyniec urodził się około roku 230 w mieście Huesca w Hiszpanii, jako syn zamożnych rodziców imieniem Orontius i Patientia. Nie wiadomo jednak kiedy oraz z jakiego powodu opuścił ojczyznę i przeniósł się do Rzymu. Pewne jest natomiast to, że biskup Rzymu (papież Sykstus II) ustanowił go jednym z siedmiu diakonów tego Kościoła lokalnego. Do jego obowiązków — oprócz posługiwania biskupowi przy sprawowaniu Eucharystii — należał dozór nad majątkiem kościelnym oraz opieka nad ubogimi.

Gdy za panowania cesarza Waleriana wybuchło w Rzymie prześladowanie chrześcijan, papież Sykstus II został uwięziony. A ponieważ nie chciał złożyć ofiary Marsowi, będącemu opiekuńczym bóstwem tego miasta, skazany został na śmierć. „Gdy zaś prowadzono go na stracenie — jak relacjo-

nuje „Opis męczeństwa” — spotkał się z Wawrzyńcem, który zasmucony zapytał: „Dokąd idziesz, Ojcze bez syna? Dokąd śpieszysz, kapłanie, bez swego diakona?” — A Sykstus odrzekł: „Nie opuszczam cię, synu... Bo większe za wiarę czekają cię boje: Za trzy dni pójdziesz za mną, lewita za kapłanem. Tymczasem rozdaj ubogim skarby Kościoła”.

Zołnierze prowadzący Sykstusa na miejsce kaźni posłyszeli słowo „skarby”, o czym nie omieszkali donieść prefektowi Rzymu. Był nim wówczas Cornelius Saecularis. Tego wieczora został Wawrzyniec wezwany przez trybunał tego dostojnika, który nakazał mu wydać wszystkie skarby Kościoła. Diakon poprosił o trzy dni zwłoki, by „mógł wszystko zgromadzić i sporządzić inwentarz”. Następnie — przebiegając place i ulice Rzymu — zwoływał ubogich, chorych i różnego rodzaju nędzarzy, korzystających z materialnej pomocy ze strony Kościoła. Liczył ich, spisywał i ustawiał w szeregi...

„W dniu oznaczonym — jak relacjonuje wspomniany już Prudencjusz — powrócił do prefekta, mówiąc: „Pójdź ze mną i oglądaj niezrównane bogactwa Boga naszego”. Gdy zaś przybyli na wyznaczone miejsce, dostojnik wzdrygnął się na widok tłumu nędzarzy. „Czemu się wzdrygasz — zapytał Wawrzyniec. Czyż to nie piękny i godzien podziwu widok? Prawdziwe bogactwo to światłość i godność ludzkiej istoty. Oni są synami światłości, a słabość ich schorzonego ciała broni ich od pychy i namiętności. Niebawem, złożywszy lachman tego ciała u wrót wiecznej szczęśliwości, zabłysną oni

w krainie wiecznego żywota purpurą i złotem, których ani mól nie zepsuje, ani złodzieje nie wykopią ani ukradną.

Teraz zaś, abyś nie myślał, że Chrystus jest ubogi, pokażę ci perły najprzedniejsze, klejnoty bezcenne, ozdobę świątyni Pańskiej: oto są dziewice poświęcone Bogu, wdowy, które nie zawarły powtórnych związków (mażeńskich). Jest to kosztowny naszyjnik Kościoła, ślubna ozdoba jego, diamenty, które zdobywają serce Chrystusa. Oto nasze bogactwo! Przyjmij je, bo upiększą one gród Romulusa, wzbogacą skarbiec w dobra nieprzemijające, i ty sam przez nie bogatszym się staniesz”.

Zawiedziony w swoich nadziejach prefekt wpadł w złość. Kazał więc wrzucić Wawrzyńca do więzienia. Tutaj — jak dowiadujemy się z „Opisu męczeństwa” — miał diakon ten znakiem krzyża przywrócić wzrok kilku niewidomym oraz spowodował nawrócenie dwóch dozorców więziennych. W dniu 9 sierpnia dzielny bojownik Pański stawiony został przed trybunałem, gdzie wyznał imię Chrystusa. Został więc ubiczowany, następnie przypiekano go rozpalonymi blachami a wreszcie rozciągano jego ciało na maszynie do tortur. Zajął to oprawcom całe przedpołudnie. Toteż zmęczeni, odnieśli Wawrzyńca do więzienia.

Pod wieczór tego samego dnia ponownie doprowadzono Wawrzyńca przed trybunał sędziego. Wówczas prefekt — zwracając się do niego — powiedział: „Złóż ofiarę bogom nieśmiertelnym, gdyż inaczej będziemy cię męczyć przez całą noc”. Zaś w odpowiedzi

cd. na str. 4



Pamiętkowe
zdjęcie
młodzieży
z ks. dziekanem
E. Stelmachem

Spotkanie młodzieży w Strzyżowicach

W dniach od 22 do 24 kwietnia br. — z inicjatywy Kół Młodzieżowych przy parafii w Strzyżowicach i parafii w Warszawie (ul. Modlińska 205) oraz ks. dziekana Eugeniusza Stelmacha, przewodniczącego Komisji Młodzieżowej przy Radzie Synodalnej Kościoła Polskokatolickiego — odbyło się spotkanie młodzieży polskokatolickiej w Strzyżowicach. W modlitwach i dyskusjach aktywnie uczestniczyły ogółem 52

osoby. W czasie spotkania wytworzyła się niezwykle serdeczna i rodzinna atmosfera. Uczestnicy podkreślali, że tego rodzaju imprezy powinny odbywać się częściej, gdyż taką drogą młodzież może się lepiej poznać, a także pogłębić wiadomości o Piśmie Świętym i Kościele Polskokatolickim. Jest to więc znakomity sposób na uaktywnienie młodzieży do pracy dla dobra Kościoła Polskokatolickiego.

cd. ze str. 3

usłyszał: „Noc moja nie zna ciemności i wszystko jaśnieje dla mnie światłością”. Kiedy więc nie można było go złamać, na rozkaz prefekta przyniesiono żelazny ruszt, rozsypano na nim rozżarzone węgle i położono na nich Wawrzyńca. Męczony fizycznie, również psychicznie nie ugiął się wobec swych prześladowców. Zwracając się bowiem do prefekta miał powiedzieć: „Już dosyć jestem upieczony z tej strony, dlatego obróć mnie i jedz. Gdyż skarby Kościoła, których ode mnie żadasz, ręce ubogich zaniosły do skarbcza niebieskiego”.

Dokumenty kościelne z tych czasów łączą śmierć Wawrzyńca z męczeństwem Sykstusa II, który zginął — jak wiadomo — 6 sierpnia 258 r. Jednak wspomniany wcześniej „Opis męczeństwa”, który „o Wawrzyńcu opowiada w sposób niezwykle dramatyczny, przesuwa jego śmierć na 10 sierpnia i utrzymuje, że przedtem miał czas pożegnać się z papieżem i rozdać zarządzaną przez się majątność ubogim. Twierdzi też, że zginął na rozpalonej kracie, a cierpiąc na niej, miał jeszcze siły do prowadzenia dowcipnego dialogu z oprawcami. Tę mało prawdopodobną i niezgodną z ówczesnymi praktykami wersję..., znali już i popularyzowali tacy pisarze kościelni, jak

Ambroży, Prudencjusz, Augustyn...” (H. Fros, Fr. Sowa: „Twoje imię” — Przewodnik onomastyczno-hagiograficzny, Kraków 1975, str. 449). Wynika z tego jednoznacznie, że nawet współcześni hagiografowie rzymskokatolicki są zdania, iż wiele szczegółów dotyczących męczeństwa św. Wawrzyńca jest legendą i nie ma uzasadnienia w dokumentach historycznych.

Już w starożytności chrześcijańskiej i w średniowieczu był Wawrzyniec jednym z najbardziej popularnych świętych. Jego cześć nie tylko zokarzeniła się głęboko w Kościele zachodnim, ale dotarła również na Wschód. Podkreśla to Leon Wielki, który — przemawiając w dniu jego święta — powiedział między innymi: „Jeżeli mowa o świetnych gwiazdach między lewitami, to jedną z najświetniejszych jest Wawrzyniec. Jak niegdyś zasłynęła Jerozolima Szczepanem, tak od wschodu do zachodu głośnie jest imię Rzymu dla Wawrzyńca”.

Wcześniej też imię Wawrzyńca umieszczone zostało wśród świętych wymienionych w rzymskiej modlitwie eucharystycznej, czyli kanonie mszalnym oraz w litanii do Wszystkich Świętych. Jego uroczystość posiadała nawet kiedyś własną prefację. Ku jego czci wzniesione zostały w krajach chrześcijań-

skich liczne świątynie. W Rzymie jest ich aż 24. Ale najwspanialszym jest chyba — wybudowany przez króla Filipa II — hiszpański Escorial, będący równocześnie klasztorem, świątynią i rezydencją królewską oraz nekropolią monarchów tego kraju. Również Ameryka ma swego rodzaju pomnik ku czci tego świętego. Jest nim jedna z największych rzek na świecie — rzeka św. Wawrzyńca, długa na 3.700 km a szeroka przy ujściu na 12 km. Liczni artyści — malarze poświęcili mu swe płótna od czasów Perugina i Rafaela, aż po lata współczesne.

Męczennik ten czczony jest jako patron ubogich, piekarzy, kucharzy i bibliotekarzy. Jego pomocy wzywano też podczas pożarów oraz w chorobach reumatycznych.

Stosunkowo wcześniej kult św. Wawrzyńca rozszerzył się w Polsce, a dzień jemu poświęcony był kiedyś wysokiej rangi świętem liturgicznym. Uroczystość jego, jak to wynika ze wspomnianego na wstępie obrazu Piotra Stachewicza, skojarzyła się ludowi wiejskiemu z pracami przy zbiorze zbóż. Stąd wieśniacy uważali go za swego patrona i opiekuna w czasie prac żniwnych.

Ks. JAN KUCZEK

O Przemienieniu Pańskim

„Wśród najważniejszych wydarzeń z życia Zbawiciela szczególnie godne uwagi i skłaniające do pobożności jest Jego chwalebne Przemienienie, kiedy to, zabrawszy ze sobą trzech najbliższych, najbardziej umiłowanych uczniów, wstąpił na górę modląc się — jak mówi św. Łukasz — przemienił się wobec nich tak, że oblicze Jego jaśniało jak słońce, a szaty stały się białe jak śnieg (Łk 9, 28—36); Mt 17, 1—8). **Rozważaj więc przede wszystkim, jaką cudowną sztuką posłużył się Pan, aby nas do siebie pociągnąć.** Widział, że ludzie powodowali się bardziej smakiem dóbr obecnych niż obietnicą przyszłych, zgodnie z powiedzeniem Mędrca „Lepiej widzieć to, czego pragniesz niż pragnąć tego, czego nie znasz” (Koh 6, 9). I dlatego, skoro tyle razy Pan mówił, że nagroda ich będzie wielka w Królestwie niebieskim, że będą zasiadać na dwunastu tronach, itd., teraz dał im skosztować jej maleńką cząstkę, aby ukazując bojuwoniom wieniec zwycięstwa, dodać im nowych sił do trudu walki. Ale nie ukazał Pan tego, co najważniejsze w tej obietnicy, mianowicie istotnej chwały zbawionych, bo przewyższa wszelkie pojęcie, a tylko część chwały przypadłościowej, którą jest jasność i piękno ciała chwalebnych. Uczynił to bardzo słusnie. Bo właśnie ciało utrudnia człowiekowi tę drogę, odsuwa od naśladowania Chrystusa, przeszkadza nieść Jego krzyż. Dlatego ważną rzeczą było dla obudzenia i pobudzenia go pokazać mu wielkość jego przyszłej chwały, aby włożył większy wysiłek w pokonanie trudu drogi, wiodącej do chwały. Dlatego jeśli słabnieysz słysząc, że każą Ci umarwiać i krzyżować ciało, przemóż się przez wzgląd na to, co mówi Apostoł: „Nadzieję pokładamy w Jezusie Chrystusie, Zbawcy naszym. który przekształcił ciało naszego człowieczeństwa w ciało swej chwalebnej jasności” (Flp 3, 21).

Rozważ, że Pan przemienił się na odległej samotnej górze, a mógł to zrobić w jakiegokolwiek dolinie czy w miejscu publicznym. Trzeba, żebyś sobie uświadomił, że ludzie nie zwykli dostępować dobrodziejstwa przemienienia wśród zewnętrznej działalności na tym świecie, lecz w samotności i skupieniu. Nie w błotnistej dolinie bydłychych pożałdliwości, lecz na górze umartwienia, którą jest zwycięstwo nad namiętnościami myślowymi. Na tej samotnej górze ogląda się Chrystus przemienionego, na niej widać piękność Boga, tam otrzymuje się zadatek darów Ducha Świętego, dostaje się do spróbowania kroplę z rzeki, która uwesela Królestwo Boże, i kosztuje się najcenniejszego wina, które upaja mieszkańców nieba (Ps 35, 9). O gdybyś choć raz doszedł do szczytu tej góry, zaprawdę powiedziałbyś ze św. Piotrem Apostołem: „Panie, dobrze nam tu być”. Jest to tak, jakby mówił: „Wymieńmy wszystko inne na tę górę, wymieńmy wszystkie dobra i rozkosze świata na dobra tego pustkowie. Ale mówi Ewangelista, że św. Piotr nie wiedział, co mówi, po to żebyś mógł zrozumieć, jak wielki jest ogrom tej rozkoszy i jaka moc niebiańskiego wina, co tak upaja serca ludzkie, że całkowicie wyobcowuje i sprawia, że wychodzą z siebie. Tak wyobcowany był św. Piotr, że nie wiedział, co mówi, nie pamiętał nic z powodu wielkości odczuwanej tu słodczy. Nie chciał nigdy rozstać się z tym najśodszymp napojem i dlatego mówił: „Panie, dobrze nam tu być. Jeśli chcesz, uczynimy tu trzy przybytki, jeden dla Ciebie, jeden dla Mojżesza i jeden dla Eliasza” (Łk 9, 33). Jeśli to mówił św. Piotr, zakosztowawszy jednej zaledwie kropli tego niebiańskiego wina, żyjąc jeszcze na wygnaniu i w śmiertelnym ciełe, co by uczynił, gdyby do woli pił z tej rwącej rzeki rozkoszy, która rozwesela miasto Boże? Jeżeli okruszynka z niebiańskiego stołu tak go nasycała i wzbogaciła, że nie pragnął już niczego, tylko trwania tego dobra, co by robił, gdyby był dopuszczony do przeobfitego stołu widzających Boga i radujących się Nim, których pokarmem jest On sam? Dzięki temu cudownemu zdarzeniu rozumiesz, że w życiu sprawiedliwych na tym wygnaniu nie wszystko jest krzyżem i meką, bo litościwy Pan i Ojciec opiekuje się nimi, umie w odpowiednich momentach pocieszyć ich, odwiedzić i pozwolić im w tym życiu zaznać pierwocin życia przyszłego, aby nie upadli pod ciężarem i nie mdleli w drodze.

Zwróć także uwagę na to, że Pan przemienił się w ten sposób na modlitwie, abyś sobie uświadomił, że dusze pobożne często przemieniają się duchowo właśnie na ćwiczeniach duchowych, otrzymując nowego ducha, nowe światło, nową zachęć i nową czystość życia. wreszcie serce tak zdolne do wysiłku i tak odmienione, że wydaje się, iż jest to nie ten sam człowiek, tak Pan Bóg go przekształcił i przemienił. Zważ też, o czym się mówi w czasie poprzedzającym tę wielką łaskę i następującym po niej: o mece, jaka będzie udziałem Pana w Jerozolimie, ażebyś przez to rozumiał cel tych łask i rozważył, jakie powinny być myśli i postanowienia powzięte w takich chwilach przez sługę Bożego. Ma to być pragnienie i postanowienie znoszenia cierpień i nawet śmierci dla Pana, który dał taką słodycz i tak bardzo godzien jest, aby uczynić dla Niego tyle i jeszcze dużo więcej. Tak więc gdy Bóg daje zaznać człowiekowi swej słodczy, człowiek winien myśleć o cierpieniu, jakie będzie dla Niego znosił, bo dary te wymagają takiego właśnie dowodu wdzięczności”.

LUDWIK Z GRANADY (1504—1588)

KRAJ

Naukowcy obliczyli, że w Polsce na każde 100 dzieci trójce wyrasta ponad przeciętność. Nie oznacza to oczywiście, że z „cudownych dzieci” wyrosną przyszli nobliści, ale trzeba zrobić wszystko, aby usprawnić niedoskonały wciąż system promocji uzdolnionej młodzieży.

W ostatnich latach w Polsce niebezpieczeństwo związane z rozprzestrzenianiem się najgroźniejszego narkotyku — heroiny — zostało nieco zahamowane. Jednak zastępuje je często palenie marihuany, grzyby halucynogenne, odurzanie się środkami lotnymi. Narkomania opiatowa ustępuje miejsca tej wolniej zabijającej, ale nie mniej uzależniającej.

W roku 1987 powstało w Polsce Stowarzyszenie „Zdrowy człowiek”. Dzięki jego inicjatywie założona została Królowa Spółdzielnia „Piramida”, zajmująca się produkcją i dystrybucją zdrowej żywności. W planach stowarzyszenia jest także powołanie poradni naturalnego leczenia. Objętość ona będzie m.in. zajęcia z ziołolecznictwa, akupunktury, hydroterapii. Stowarzyszenie to liczy ok. 4000 członków działających w 17 oddziałach na terenie całej Polski.

Ze statystyk prowadzonych przez „Społem”, Cech Piekarzy i innych gestorów piekarni wynika, że w piekarniach samej tylko Warszawy brakuje 330 piekarzy w piekarniach rzemieślniczych, 700 w spółdzielczych, nie mówiąc o 400 pracowników innych specjalności. Przez lata w piekarniach można było odpracować służbę wojskową (zasadniczą). W roku 1984 zlikwidowano tę możliwość. Teraz młodzi ludzie po kilkunastu miesiącach pracy odchodzą do wojska, a po nim wracają tylko nieliczni.

Na placu Zamkowym w Warszawie uroczysto odsłonięto tablicę pamiątkową, umieszczoną na murach Podwała, ku czci znakomitego malarza weneckiego, jednego z najwybitniejszych przedstawicieli malarstwa wędutowego — Bernarda Beloffa Canaletta. Ostatnie lata swego życia spędził on w Warszawie, na dworze Stanisława Augusta i temu miastu poświęcił wiele swych dzieł.



Krzysztof Penderecki i jego „Polskie Requiem”

ŚWIAT

Zielarskie recepty z czasów faraonów egipskich przyczyniły się do uratowania starodruków i rękopisów, które podczas gwałtownej powodzi na rzece Arno zostały zalane w magazynach Biblioteki Narodowej we Florencji. Ofiarą powodzi padło 60 tys. wolumenów. Prace ratownicze trwają od 26 lat, połowę ksiąg już odrestaurowano. Włoskim ekspertom pomagają specjaliści z wielu krajów, m.in. egipcscy chemicy z Uniwersytetu w Kairze przywieźli kolekcję preparatów ziołowych, jakich używano jeszcze w czasach faraonów do balsamowania i konserwacji.

Policja szwajcarska aresztowała obywatela włoskiego poszukiwanego we Włoszech w związku z uprowadzeniem w 1978 r. byłego premiera Aldo Moro i zabiciem 5 ludzi wchodzących w skład jego ochrony. Alvaro Lojaco, który zmienił nazwisko na Alvaro Boragola, ujęty został w Lugano, w południowo wschodniej Szwajcarii.

„Towarzyszu! Jeśli nie jest ci obojętne, co dzieje się dziś i jakie będzie jutro, jeśli jesteś żywotnie zainteresowany autentyczną demokratyzacją naszego życia, przyjdź na wiec: pieriestrojka w naszym obwodzie — kto ją hamuje”. Na takie niezwykłe zaproszenie rozkolportowane w Omsku w formie ulotki odpowiedziało ok. 8 tys. mieszkańców, którzy przybyli na miejskowy stadion „Dynamo”, aby zaprotestować przeciwko brakowi jawności przy wysuwaniu mandatów na delegatów, którzy mają reprezentować obwodową organizację partyjną na XIX krajowej konferencji KPZR. O wydarzeniu tym szeroko poinformowała prasa moskiewska. Dziennik „Pravda” zauważył, że był to pierwszy, jak sięgają pamięci mieszkańcy Omska, wiec nie zarządzony odgórnie.

Wstępne wyniki badań amerykańskich uczonych-kardiologów ogłoszone w prestiżowym piśmie medycznym „The New England Journal of Medicine” potwierdzają tezę, że przyjmowanie jednej tabletki aspiryny co dwa dni o połowę zmniejsza ryzyko zawału serca. Lekarze zwracają jednak uwagę na uboczne efekty stosowania leku. Na liście przeciwwskazań znajdują się m.in. choroba wrzodowa żołądka i dwunastnicy oraz krwawienia. Z dużą ostrożnością należy stosować lek w przypadku niewydolności nerek.



15 maja br. rozpoczęło się wycofywanie radzieckiego wojska z Afganistanu. Operacja ta potrwa 9 miesięcy.

KOŚCIÓŁ

W strożytności Grecy słowem „kościół” — po grecku „ekklelesia” oznaczali wszelkiego rodzaju zebrania, zwłaszcza polityczne. Dopiero pod wpływem chrześcijaństwa słowo to zaczęło oznaczać zgromadzenia religijne. Polski wyraz „kościół” pochodzi prawdopodobnie od łacińskiej nazwy zamku jako wyniosłej budowli — castellum, a więc również pierwotnie oznaczał budynek, a nie związek religijny. Dziś jest określeniem budynku, jak też i Wspólnoty ludzi wierzących.

Wspomnieliśmy już wyżej, że Grecy nazywali wszelkie zgromadzenia słowem „Ekklesia”, a chrześcijanie słowo temu nadali wyłącznie religijne znaczenie. Możemy się o tym przekonać podczas czytania Pisma Świętego Nowego Testamentu, gdzie aż 114 razy użyto rzeczownika Ekklesia (Kościół) w znaczeniu właściwym, a więc na oznaczenie religijnej wspólnoty. Pamiętajmy, że Nowy Testament był spisany w języku greckim. Religijne

znaczenie słowa Kościół ma swój odpowiednik już w Starym Testamencie. Żydzi nazywali Kościołem lud zgromadzony na modlitwę, czy składający ofiary. Po hebrajsku słowo to brzmi: „kahal”. Bóg Izraela sam sobie wybrał potomków Abrahama, Izaaka i Jakuba za swój Lud i zobowiązał — poprzez kolejne przymierza, zawierane z patriarchami jako głowami narodu wybranego — do specjalnej wierności i pielęgnowania obietnicy, że z tego Ludu wyjdzie Zbawiciel. Kahal starotestamentowy był jakby figurą Chrystusowego Kościoła. Kiedy przywódcy duchowi Izraela nie przyjęli nauki Chrystusa, a większość Izraelitów poszła za nimi, wówczas Apostołowie zaczęli przyjmować do społeczności wiernych ludzi z innych narodów. Ten Nowy Lud, zjednoczony wiarą w Mesjasza — Jezusa, zyskuje w pismach Apostoła Pawła miano: „Izraela według ducha” w przeciwieństwie do wyznawców starej religii, których Św. Paweł zwie „Izraelem według ciała”. W przekonaniu pierwszych chrześcijan, ci, którzy odrzucili Jezusa, stracili przywileje Ludu Bożego.

Prawdziwym Ludem Bożym czyli Kościołem — jest Wspólnota chrześcijańska. Przez swego Syna i w swoim Synu zawarł Bóg ze swoimi dziećmi Nowe Przymierze, czyli utworzył doskonałszy Kościół. Z tej racji Jezus powiedział. „Założę Kościół mój”.

Nowy testament synagogą zwie wyłącznie spotkania religijne wyznawców starej religii, a wyraz „kościół” rezerwuje dla wspólnoty wierzących w Chrystusa, i to w dwojakim znaczeniu: szerszym i węższym. Szerokie rozumienie słowa „Kościół” ogarnia wszystkich ludzi wierzących w Chrystusa, czyli wszystkich chrześcijan. Są teologowie, którzy chętnie włączyliby do tej liczby cały lud odkupiony przez Zbawiciela od początków istnienia ludzkości, aż po jej doczesny kres, i dalej przez całą wieczność. Chrystus umarł za wszystkich. Żyły i żyją miliony ludzi, którzy nie znają Zbawiciela tylko dlatego, że o Nim jeszcze nie usłyszeli. To rzesza ludzi uczciwych, starających się żyć zgodnie z sumieniem, a więc i z prawem bożym. Z tej racji byłoby rzeczą nieroztropną upierać

się przy tym, że tylko ochrzczeni należą do Kościoła. Już wręcz na złośliwość zakrawa praktyka stosowania dawniej dość powszechnie, a dziś coraz rzadziej, uważania innych wspólnot chrześcijańskich ze wyłączone z Kościoła Chrystusowego. Jak się przekonamy w oparciu o Nowy Testament i świadectwo pierwszych wieków chrześcijaństwa, poszczególne Wspólnoty wyznawców Chrystusa rządziły się samodzielnie. Gminy chrześcijańskie utrzymywały ze sobą luźny kontakt, wymieniały listy, ale nie podlegały sobie wzajemnie, czyli nie tworzyły żadnej organizacji. Cechą jednoczącą wszystkich była wiara w Jezusa Chrystusa i miłość bliźnich. Z tej miłości Chrystus nie kazał wyłączyć nawet nieprzyjaciół. A więc, w najstarszym znaczeniu, Kościół Chrystusowy to duchowa wspólnota ludzi w Chrystusie Zbawicielu.

Kościół w znaczeniu zawężonym to poszczególne Wspólnoty wchodzące w skład Kościoła powszechnego. Mogą mieć charakter narodowościowy, gdy skupiają wyznawców z jednego narodu, lub wyznaniowy, gdy trzymają się pewnych różnic w rozumieniu wiary, ale mocno trwają przy Chrystusie jako Bogu i Człowieku. Te większe lub mniejsze części Kościoła powszechnego stanowią jakby samodzielne i niezależne rodziny kościelne, uznające najwyższego Pasterza Jezusa Chrystusa.

Ks. A. BIELEC

Trudne pytania

Jak być szczęśliwym

Dążymy do niego wszyscy, choć każdy z nas ma inne pojęcie o nim. Szczęście... Jak je zdobyć, jak żyć, by móc szczerze i bez wahania powiedzieć: Jestem szczęśliwy(a)! Znamy chyba wszyscy dziecienną bajkę o tym, jak żył sobie niegdyś bardzo nieszczęśliwy władca, który chciał być szczęśliwy. Dowiedział się od najstarszych mędrców swego kraju, że jego los odmieni się wówczas, gdy założy na siebie koszulę szczęśliwego człowieka. Władca ów bardzo długo szukać owego „szczęściarza”, a gdy w końcu go odnalazł — okazało się, że jest ten człowiek tak biedny, że nie ma nawet.. koszuli.

Na przestrzeni wieków nad istotą i pojęciem szczęścia zastanawiało się wielu filozofów, mędrców i uczonych mężów. Głoszono m.in., że szczęście polega na odmawianiu sobie wszystkiego. Szczęśliwy biedak, szczęśliwy ten, który do niczego nie dąży i nic nie wie, ten, który bez zastrzeżeń przyjmuje ustalo-

ny porządek rzeczy i nie docieka jej istotny. „Nie zgłębiaj, chłopcze, niczego nie zgłębiaj. Szczęśliwy ten, kto ucieka od ziemskiego zgiełku” — mawiał Fray Luis de León. Ten model szczęścia jednak wydaje się nam dziś niezbyt atrakcyjny, wręcz — podejrzany.

Mijały wieki, zmieniali się ludzie, zmieniały się też ich poglądy i ich wizje szczęścia. Od pewnego czasu, także i dziś, forsuje się pogląd, że szczęście polega na posiadaniu. Oczywiście wynika z tego, że im ktoś więcej posiada dóbr materialnych (i to najwyższej jakości) — ten jest szczęśliwszy. I — odwrotnie — nie może być szczęśliwy ten człowiek, który obojętnie patrzy na to, jak jego sąsiad kupuje bardziej nowoczesny samochód, większą zamrażarkę itp. Człowiek szczęśliwy nie może już być dzisiaj biedakiem bez ko-

szuli — wielkie firmy skutecznie mu to uniemożliwiają: jego koszula (bo mieć ją musi!) powinna być coraz bielsza, coraz delikatniejsza, coraz wytworniejsza i cieńsza od innych. Dzieje się tak dlatego, że zmieniła się klasa rządząca: z wojowników, posiadaczy ziemskich czy moralistów — przekształciła się w... sprzedawców. Dlatego też zmienił się (i wciąż się zmienia) model tak poszukiwanego przez nas wszystkich szczęścia.

Wszystko to każe myśleć o nadmiernym manipulowaniu tym pojęciem. Każdy, kto proponuje nam szczęście, budzi pewien niepokój: w jaki sposób trzeba będzie za to szczęście zapłacić? Kusi się nas często czymś, co absolutnie nie istnieje, czyli — absolutem. To, co obecnie nazywamy szczęściem, wydaje się względne i niewymierne, można mieć trochę, wystarczająco, dużo, czasami — nadmiernie dużo szczęścia. Współistnieje ono zawsze ze swym przeciwstawnym bratem, czyli — nieszczęściem. Głoszenie, że nasz los zależy od siły zewnętrznej, jest niewątpliwym wybiegiem, samouspokojeniem, a często — nawet egocentryzmem.

Więc jak to jest z tym naszym szczęściem? Poszukiwanie go, stawianie jego osiągnięcia za nadrzędny cel życia — jest oczywistym nonsensem. Utożsamianie go z konkretną osobą — idealizmem, który w końcu obraca się przeciwko nam. W rodzinie, czy też w związku dwóch osób, nikt nie może być szczęśliwy naprawdę, jeżeli ta druga osoba jest nieszczęśliwa. Jednocześnie — nikt nie stanie się szczęśliwy, jeżeli będzie musiał zapłacić za cudze szczęście własnym wyrzeczeniem, zmianą planów lub rezygnacją z nich. W dodatku forma, w jakiej istota kochana, chroniona czy broniona otrzymuje porcję „naszego” codziennego szczęścia — może być okropna.

Szczęście nie polega ani na rezygnacji, ani na trzymaniu się zawsze z boku, ani też na posiadaniu wszystkiego i korzystaniu z dóbr doczesnych. Może to być przyjemne, wygodne, ale wywołuje również dręczący niepokój i nadmierne ambicje. Bez Boga — szczęście nie istnieje. Czy więc w ogóle istnieje? Jeżeli rzeczywiście tak, to po prostu nie trzeba się nad nim zbyt długo zastanawiać...

O edukacji dawnych Polaków

Przywykliśmy traktować oświatę jako proces organizowany przez szkoły zarządzane centralnie i dopełniane przez różnorodne środki masowej informacji. Oglądane z tego punktu widzenia czasy dawne budzą przede wszystkim zdumienie. Jak była możliwa oświata w społeczeństwie XVI i XVII wieku, skoro nie istniał centralny urząd państwowy, który by ją organizował? Skoro nie było administracji szkolnej, nie ustalono programów nauczania, nie przygotowywano podręczników. Skoro nie istniała jednolita sieć szkolna, sieć ogólnopaństwowa, a pojęcie obowiązku szkolnego nie było znane i każdy mógł się uczyć albo nie — jak chciał.

Jak była możliwa oświata w tym społeczeństwie, w którym komunikacja była trudna, a możliwości informacyjne małe, w społeczeństwie bez kolei i poczty, bez radia i telewizji, bez gazet codziennych, bez kursów, wykładów, mających podnosić poziom wiedzy powszechnej? W tym społeczeństwie, które żyło w rozproszeniu na ogromnych obszarach Rzeczypospolitej ówczesnej, w społeczeństwie szlachecko-ziemiańskim, dla którego miasto nie stanowiło atrakcyjnych ośrodków umysłowego życia i które utrzymywało wewnętrzne kontakty, bezpośrednie i bliskie, tylko w chwilach niepowszednich, jak elekcja czy wojenne wyprawy, wcale nie sprzyjających kształceniu.

A jednak, chociaż wszystko było inaczej, niż jest dzisiaj, edukacja wcale nie była zaniedbana. To, co o niej wiemy wskazuje, iż miała ona w owych czasach źródła zasobne, a sposób, w jaki ją realizowano, przynosił dobre owoce.

Trzy były główne źródła rozwoju edukacji w Polsce XV i XVII wieku: wielkie prądy umysłowe, a mianowicie humanizm i reformacja powiązana z kontrreformacją, oraz polityczny ruch szlachty, osiągającej władzę w państwie. Edukacja była związana z tymi procesami życia umysłowego i społecznego, była ich wyrazem, niekiedy ich narzędziem, nie była dziedziną niezależną, nie była organizowana wyłącznie jako system wychowywania dzieci. Była w gruncie rzeczy edukacją w życiu i przez życie; szkoła stanowiła przedłużenie tej edukacji.

Polityczny ruch szlachecki stanowił nieustającą inspirację edukacyjną. Sięgająca po władzę w kraju i po odpowiedzialność za kraj szlachta rozumiała dobrze, iż musi się uczyć. I podejmowała spór z duchowieństwem w obronie ojczystego języka, w którym chcieli czytać książki. I z dworem królewskim, który — zwłaszcza na Zygmunta Starego — preferował łacinę; a Zygmuntovi dziękowała na sejmie, iż



Dawna książka naukowa. Strona z „officine ferraria” W. Rożdżeńkiego

jako król polski mówi do posłów po polsku.

Sejm był wielką szkołą obywatelską. Sejmowe przemówienia posłów są pięknym przykładem rozumienia politycznego, a także wykształcenia w historii, zwłaszcza starożytnej. Równocześnie twórczość Mikołaja Reja była wspaniałym wyrazem potrzeb intelektualnych oraz wielkim programem powszechnego kształcenia się we wszystkich ważnych sprawach świata i Rzeczypospolitej. Gdy Rej koncentrował jednak swą uwagę raczej na modelu „człowieka uczciwego”, Jan Zamojski — pod koniec wieku XVI — ukazał model obywatela. Tworząc Akademię Zamojską chciał, by nauka służyła Rzeczypospolitej. Bez nauki — stwierdzał — szkodliwe rady w senacie, mylnie wszystkie kroki w rządzeniu, w ciemnocie pogrążone społeczeństwo oddala się od godności ludzkiej”.

Ta edukacja szlachecka miała swą nadbudowę, w której przekraczano horyzonty wąskich interesów stanowych. Otwierano perspektywy bardziej rozległe, wyznaczone przez pojęcie patriotyzmu i sprawiedliwości. Kochanowski rozwinął szeroki program dla powszechnej edukacji zgody i sprawiedliwości. To on wzywał tych, którzy rządzą, tych, któ-

rym „ludzi paść poruczono”, aby wypełniali uczciwie swe obowiązki, gdyż inaczej niebezpieczeństwo zagrozi krajowi. „O nierządne królestwo i zginienie bliskie — pisał — gdzie ani prawa waży, ani sprawiedliwość ma miejsce”.

Tej krytyce poświęcił Andrzej Frycz Modrzewski całe swe życie. Przed „trybunał rozumu” pragnął powoływać wszystkich prowadzących spory, a zwłaszcza tych, którzy utrzymują prawa niesprawiedliwe i krzywdzą słabszych i uboższych. Przekonywał, iż człowiek jest zawsze takim samym człowiekiem, niezależnie od stanu, w którym się urodził. Wzywał do wielkiej naprawy Rzeczypospolitej, bo wierzył, iż można stworzyć państwo sprawiedliwe, państwo obywateli wykształconych, państwo pokoju. Jego program wychowawczy miał być jednym z środków realizacji tej wizji.

Ale rzeczywistość zaprzeczała tym nadziejom. W wieku XVII szlachta przestawała „służyć ojczyźnie”, szukała sposobów, aby jak najwięcej z niej skorzystać. Ideał ziemiańskiego żywota, opartego na pańszczyźnianym wyzysku, zyskiwał coraz powszechniejszą akceptację; piętno egoizmu i prywaty stawało się coraz silniejsze.

Polityczny ruch szlachecki nie był jedynym źródłem edukacji w dobie renesansu. Źródłem drugim był humanizm. Prądy humanistyczne docierały do Polski już od wieku XV, ale w wieku XVI przekraczały pierwotnie dość ciasne granice dworu królewskiego i dworów możnowładców duchowych i świeckich, ogarniając coraz szersze kręgi szlacheckie. Edukacja klasyczna stawała się wspólną edukacją tej warstwy, która swe polityczne aspiracje formułowała coraz częściej w nawiązaniu do antycznej tradycji. To przecież dlatego Polska, chociaż pozostawała królestwem jak dawniej, przestała nazywać się Regnum i zyskała, odtąd na zawsze, miano Rzeczypospolitej — Respublica. W politycznych dyskusjach posługiwano się najczęściej argumentami zaczerpniętymi ze starożytnej historii. Rzymianie stawiali się wzorami cnót obywatelskich, a ich miłość wolności inspirowała szlacheckich trybunów do podobnego działania.

Równocześnie humanizm otwierał horyzonty dalsze niż te, które związane były z ruchem politycznym. Kierował ludzi ku filozofii, ku nauce, ku poezji. W tych warunkach zmieniano się pojęcie wykształcenia, rozszerzał jego zakres. Szkoła, a następnie książka i dyskusja, tworzyły tę nową kulturę intelektualną i artystyczną. Od Grzegorza z Sano-ka i Mikołaja Kopernika, od Klemensa Janickiego i Jana Dantyszka rozpoczynają się te nowe dzieje. I dla Jana Zamojskiego jest już zupełnie oczywiste, iż gdy tworzy swą Akademię dobrego obywatela, zadbać musi przede wszystkim o humaniora. Pomaga mu poeta Szymon Szymonowicz, ozdobą uczelni staje się Adam Burski, głośny w Europie znawca „dialektyki Cy-cerona”.

Miłość filozofii, nauki i poezji przetrwa dłużej niż humanizm. Zostanie już niewzruszalnym składnikiem polskiej kultury. Poświadczą to wiek XVII, w którym zainteresowania nauką rozwijały się nawet w najbardziej nie sprzyjających warunkach, a nie tylko w książkach, ale i w prywatnych *silvae rerum*, zawierających odpisy ulubionych utworów — na długo jeszcze zanim romantyzm wprowadził modę sztambucha. W dziedzinie filozofii prowadzili prace mieszczanie, zwłaszcza w Krakowie, Toruniu i Gdańsku. Interpretowano w nowy sposób Arystotelesa, wzrastały wpływy stoików. Czasy były dla wszystkich trudne i niebezpieczne, postawa stoicka zdawała się obiecywać pewien spokój. Opaliński, nawiązując do Diogenesa, szukał „z laterną” prawdziwego człowieka; szukał na próżno. Właśnie wychowanie miało przywrócić nadzieję.

RATUSZ. Ta właśnie nazwa jest znana i używana do dziś również w stosunku do budowli współczesnych. Wywodzi się ona z języka niemieckiego, od słowa „das Rathaus” — dom, w którym mieściła się rada miejska, magistrat, sąd. W języku polskim był na oznaczenie tego miejsca specjalny wyraz, wietnica, ale zaginął już dawno, ustępując miejsca ratuszowi, tym bardziej, że tak o tym budynku mówili najczęściej od XII—XIII w. poczynając mieszczanie, główni jego użytkownicy, a z pochodzenia przeważnie Niemcy.

Tak więc nawet w przysłowiaach polskich zachował się ratusz, nie wietnica, np. „Nie wołaj, bo wezmą gębę na ratusz”, „Do kościoła kiedy chcesz, a na ratusz musisz”, „Wszyscy mądrzy, gdy wracają z ratusza” i inne.

Ratusz w każdym razie to instytucja stara. Można właściwie powiedzieć, że „już starożytni Grecy i Rzymianie...”. I rzeczywiście, pierwsi mieli *buleuterion*, drudzy — *kurie*. Średniowieczne ratusze zaczęto wznosić wraz z rozwijającymi się najczęściej na prawie niemieckim miastami, od XII—XIII wieku. Stawiano je zazwyczaj w centrum miasta, pośrodku rynku albo w ciągu jednej z jego pierzei, najczęściej dość rozbudowane, monumentalne, z wieżą — strażnicą albo wkomponowaną w budynek, albo oddzielną, przylegającą do niego.

W ratuszu, zgodnie z jego przeznaczeniem, musiały znaleźć miejsce rozmaite pomieszczenia związane z działalnością rady miejskiej. Była tu więc reprezentacyjna sala obrad władz miejskich, duża i pięknie zdobiona, na piętrze, była izba sądowa, wartownia, w podziemiach — więzienie, a na parterze — liczne kramy kupieckie, czasem też wyszynk piwa i win. W pobliżu ratusza budowano kramy, sukiennice, pomieszczenia wagi miejskiej, często studnie miejskie itp.

Architektura ratuszy zmieniła się w ciągu stuleci, zgodnie z linią rozwoju sztuki: od surowych, średniowiecznych budowli obronnych przez reprezentacyjne późnogotyckie, wzorowane na pałacach renesansowe i barokowe, po powściągliwe klasycystyczne z XVIII i pocz. XIX w. i eklektyczne budowle II poł. XIX w. Eklektyzm w architekturze to dążność do łączenia w jedno elementów zapożyczonych z różnych stylów. Często więc pojawiały się wówczas budowle neogotyckie i neorenesansowe.

Wiele ratuszy renesansowych w Polsce, np. sandomierski, ma bogatą attykę, czyli zwieńczenie, zasłaniające dach. Takie attyki zaczęły się pojawiać od czasów Zygmunta I, i poza funkcjami zdobniczymi stanowiły pewne zabezpieczenie dachu od ognia w gęsto zabudowanym kamienicami terenie miejskim. Attyka ratusza sandomierskiego z XVI w. zbudowana jest z kilku rodzajów cegieł: zwykłych, modelowanych i profilowanych i glinianych wypalanych elementów zdobniczych.

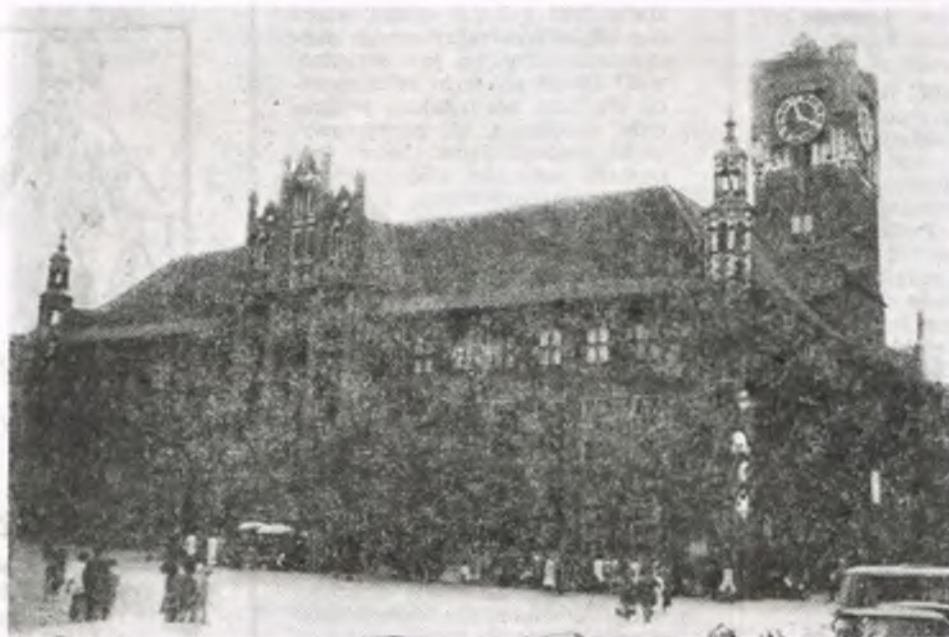
Tam, gdzie bywały drewniane całe miasteczka — i ratusz na rynku budowano z tego surowca. Były takie drewniane ratusze np. w Knyszynie i Goniądzu na Podlasiu. Jeszcze w połowie XIX w. naliczyć można było w polskich miasteczkach kilkanaście takich budynków: piętrowych, z podcieniami, bardzo charakterystycznych.

Dziś nie ma już prawie nawet ich rysunków, nie oszczędziły ich bowiem czas, wojny, pożary ani ręka ludzka. Zostało jednak wiele pięknych, murowanych ratuszy, na które warto zwrócić uwagę w czasie wakacyjnych wędrowek. My przypominamy dziś kilka najpiękniejszych i najbardziej charakterystycznych.

E. D.

WIETNICE

czyli ratusze w miastach polskich



Monumentalny gotycki ratusz w Toruniu, pochodzący z XIV wieku



Piękny renesansowy ratusz w Chełmnie, zwieńczony ozdobną attyką, budowany w latach 1567—1572



Ratusz w Zamościu, renesansowy, budowany w latach 1591—1600, potem w I poł. XVII w. przebudowany, z dobudowanymi w latach 1767—1770 barokowymi schodami



Gotycki ratusz we Wrocławiu, budowany w XIII w.,
później rozbudowywany i przebudowywany



Jeden z najpiękniejszych ratuszy renesansowych, ra-
tusz poznański, 1550—1560



Barokowy ratusz w Kluczborku, pochodzący z XVIII
wieku



Ratusz w Nowym Sączu, charakterystyczny budynek
o wybitnych cechach eklektyzmu architektonicznego



Pisarz serca i radosnego uśmiechu

Zmarł w Zakopanem 35 lat temu, 31 lipca 1953 roku. Schorowany, zmęczony przejściami wojennymi, coraz bardziej zapomniany. Zapomniany jednak tylko przez krytykę oficjalną, bowiem pokolenie, które wzrastało w okresie międzywojennym, choć tak okrutnie zdziesiątkowane przez lata wojny i okupacji, to pokolenie, któremu wówczas, w nowej rzeczywistości przyszło wychowywać własne dzieci, to pokolenie pamiętało wszystkie książki Kornela Makuszyńskiego, tak pełne wielkiej dobroci, przepełnione radością i nasączone humorem i uśmiechem.

I dziś wciąż jego ostatni azyl, małe mieszkanko-muzeum w Zakopanem i mogiła na Pękowym Brzyzku, starym zakopiańskim cmentarzyku, dobitnie świadczą o tym, że nie został zapomniany. Kwiaty i szkolne tarcze z miast całej Polski w niewielkiej choćby części oddają Pisarzowi to, czym obdarzał dzieci i młodzież całe życie.

Urodził się w 1884 roku w Stryju niedaleko Lwowa, tam zaczął naukę, którą kontynuował w Przemysłu i Lwowie, gdzie zdał egzamin dojrzałości i studiował.

Karierę pisarską rozpoczął wcześniej, w 1898 roku, jeszcze jako uczeń lwowskiego gimnazjum im. J. Długosza. Zaczął od pisania wierszy, publikowanych m.in. w poczytnym lwowskim czasopiśmie „Słowo Polskie”, i krytyk teatralnych. Debiut książkowy, pierwszy tomik poezji pt. „Połów gwiazd” ukazał się w 1908 r. Już te pierwsze próby przyjęte były na ogół bardzo pozytywnie, a w ich autorze odkryto „subtelny, wrażliwy, namiętną duszę poety”.

Od chwili debiutu Makuszyński pisze właściwie bez przerwy. Są to wiersze, krótkie formy narracyjne, felietony, powieści dla dorosłych, krytyki i recenzje teatralne. Poza krytykami tematka tych utworów jest bardzo różnorodna, ale przeważnie wszystkie przepełnione są wesołością, żywiołową radością, humorem, śmiechem — choć czasem

przez łzy, a też sarkazmem i ironią.

Pierwsza wojna rzuciła pisarza w głąb Rosji, a potem do Kijowa. Tam powstały pierwsze powieści dla młodego czytelnika i dla dorosłych „Perły i wieprze” i „Słońce w herbie”.

W roku 1918 zaczyna się nowy, warszawski okres życia pisarza, trwający do 1944 r., niezwykle bogaty w wydarzenia, zarówno osobiste jak i zawodowe, zarówno radosne, jak i smutne.

Ważną datą w twórczości literackiej K. Makuszyńskiego jest rok 1924, gdy ukazał się poemat

„Pieśni o Ojczyźnie”, komponowany przez wiele lat, za który autor otrzymał Państwową Nagrodę Literacką w 1926 r. Uznał ten utwór za czyn obywatelski Makuszyńskiego, za dzieło o niezwykle szlachetnej tendencji. Wielu jednak krytyków zarzucało mu patos, wielosłowie, retorykę. Choć poetyckim mistrzem był Makuszyński Słowacki, to nie w poezji osiągnął on największy sukces, była ona raczej epizodem w całym dorobku literackim.

Poza prozą powieściową bardzo ciekawie wypowiadał się Makuszyński w pisanych na przestrzeni wielu lat lżejszych formach literackich, takich jak listy, felietony, opowiesci.

Lata międzywojenne to poza życiem warszawskim również liczne pobyty w Zakopanem, które zaczęły się w 1918 r. Tematy tatrzańskie i zakopiańskie, tak często poruszane w twórczości Makuszyńskiego, przyniosły mu w 1931 r. honorowe obywatelstwo tego miasta, do którego na stałe powrócił pod koniec życia.

Jednakże poza wieloma tomikami poezji, felietonów, szkiców literackich i opowiadań, lata międzywojenne to przede wszystkim najwspanialszy okres twórczości dla dzieci i młodzieży, począwszy od „Bardzo dziwnych bajek” (1916) i „O dwóch takich co ukradli księżyc” (1925) po „List z tamtego świata” pisany w 1939 r. i „Szaleństwa Panny Ewy”, powstałe w 1940 r.

Twórczość Makuszyńskiego dla dzieci i młodzieży zaczęła się w 1914 r. w Kijowie. Wtedy to, jak sam pisze, „olbrzymi wpływ Polaków w mig wyczerpał wszystkie książki (...). Setkom tysięcy dzieci groził głód książki (...). Rzucono się do pracy, aby ratować polską duszę. Zakładano teatry, szkoły i nawet uniwersytet. A ja, wedle mojej mocy czyniąc, napisałem książkę”. Tak właśnie powstały „Dziwne bajki”, przyjęte niezwykle serdecznie. Potem przyszły autobiograficzne „Bezgrzeszne lata” w 1925 r. Te z kolei powstały

w okresie smutku i przygnębienia autora. „...z kolegami zaczęliśmy sobie opowiadać o tym, jak to cudownie było dawno, dawno. Postanowiłem to wszystko opisać i opisałem. Pisząc „Bezgrzeszne lata” musiałem je przeżyć po raz drugi, dlatego sprawiałem wrażenie człowieka, który ma strasznie dobre serce i złotą duszę, ale w głowie groch z kapustą i psie figle”.

W tym samym roku, 1925 ukazała się kolejna, choć od poprzednich inna pod każdym niemal względem książka: „O dwóch takich, co ukradli księżyc”. Jest to hymn na cześć matki i miłości matczynej, pochwała pracy i

jej dobrodziejstw, w formie opowiesci na pograniczu baśni i rzeczywistości, pełnej liryzmu i humoru.

Te dwie książki stały się wielkim sukcesem Makuszyńskiego. Zachęcono nim pisarz stwierdził: „Zachęciło mnie to do nowej taktkiej, zresztą bardzo ciężkiej roboty. Bardzo trudno jest pisać dla tych baszybuzuków, co wglądają lajdackim wzrokiem w każde słowo i kontrolują duszę autorską, jak komornik wnętrze kasy. Zresztą z jednego czytelnika, co ma piętnaście lat, oddam bez targu dwóch dorosłych”.

Tak właśnie urodził się „wesoły diabeł” Piszczalka i jego przyjaciel Jacek, w 1930 r., z książki „Przyjaciel wesołego diabła”, mówiącej o synowskim sercu zdobywającym się na największe ofiary i poświęcenie dla okupienia wroko przybranego ojca.

Rok 1933 przyniósł „dziewczyńską” powieść Makuszyńskiego, „Pannę z mokrą głową”. Ta panna, Irenka, wypowiedziała zażartą wojnę smutkowi i zgorzkniałej apatii, głosząc radość, największy skarb człowieka i najlepszą broń do walki z losem, eliksir leczący wszystkie rany życia — jak o niej powiedział J. Sokolich-Wroczyński w recenzji, wkrótce po ukazaniu się książki.

Jak więc widać, „młodzieżowa” twórczość Makuszyńskiego spotkała się z jednoznacznie przychylnym uznaniem ogółu czytelników (choć nie wszystkich krytyków). Do ugruntowania tego poglądu przyczyniły się zwłaszcza dwie kolejne książki, „Skrzydlaty chłopiec” z 1934 r. i „Wielka Brama” z 1936 r. Obie były książkami z tezą: pierwsza przez opis dziejów bezdomnego chłopca, który wyrósł na asa polskiego lotnictwa — propagując właśnie rozwój lotnictwa, a druga uczyla dumy narodowej i patriotyzmu, ukazując Gdynię, wielką bramę Polski na szeroki świat przez losy rozkochanego w morzu małego lwowskiego sieroty, Piotrusia Koreckiego. Jak pisał w 1937 r. J. Grabowski „Czy „Wielka bra-

ma” zachęci młodzież polską do służby na morzu — nie wiem. Natomiast jestem pewien, że w każdym młodym czytelniku utrwała ona przeświadczenie, że świat jest piękny, ludzie dobrzy, żaden wysiłek ludzki nie idzie na marne, że słowem — warto żyć dla siebie i innych”.

Te same zresztą uczucia, poczucie dumy narodowej, wiara w dobroć ludzi, pogodny humor i piękny język znaleźć można we wszystkich „chłopiach” i „dziewczycach” utworach Makuszyńskiego, „Wyprawie pod psem”, „Złamanym mieczu”, „Szatanie z 7 klasy”, „Liście z tamtego świata”, „Awanturze o Basię” i „Szaleństwach panny Ewy”.

„Wyprawa pod psem” jest opisem letniej wycieczki, ale nie przewodnikiem turystycznym. Jest za to źródłem humoru i dowcipu, a jej bohaterowie, choć czasem komiczni, wzruszają szlachetnością poczynań. Podobnie w „Szatanie z 7 klasy” z 37 r., znakomitym opisie przygod młodego chłopca o zacięciu detektywistycznym, do końca trzymającym w napięciu. Kornel Makuszyński zaczął pisać drugi tom „Szatana”, w którym Adaś poszukiwał porwanej trzyletniej dziewczynki. Niestety, wojna nie pozwoliła autorowi skończyć tego utworu.

Przed wojną, w 1937 r. ukazała się jeszcze „Awantura o Basię”, powieść, przez którą autor chciał dać młodym czytelnikom esencję radości i humoru, w której jeden z bohaterów, pisarz Olszowski, porte-parole Makuszyńskiego, tak pisze: „Moje książki wędrują między rzesze, niechże przeto świeca, niech goj, lecz niech nie straszą i nie burzą naiwnej prostej wiary w serce człowieka”.

W grudniu 1939 r. miała wyjść jeszcze jedna książka, „List z tamtego świata”, który z tamtego, innego świata nadszedł dopiero w 1946 r., po wojnie. I tu też ludzie na pozór źli okazali się serdeczni i szlachetni, i tu zwyciężył humor i wiara w ludzką dobroć.

Jedyną napisaną w czasie wojny książką były „Szaleństwa Panny Ewy”, które ukazały się aż w pięć lat po śmierci autora, w 1958 r. W książce tej nie ma słowa o wojnie. Nie chciał o niej pisać ów autor radości i uśmiechu, choć musiał o niej pamiętać. Wprowadził więc do utworu wojnę, ale wojnę z chorobą, z dżumą, dżumą ciała i duszy, z którymi walczyła dr Tyśzowski i jego córka, Ewa.

W całej swej twórczości dla młodzieży, która obok wierszowanych opowiadań historycznych i Koziółka Matołka dla dzieci najbardziej zapadła w pamięć i serce czytelników, Makuszyński przedstawił świat zbudowany z uśmiechów, pod pogodnym niebem, pełen ludzi szlachetnych i dobrych, świat spełnionych marzeń i uśmiechniętych snów. Bowiem jak sam pisał w „Bezgrzesznych latach”, „choćbyś miał w duszy tysiąc zgrzyzot, a w sercu morze łez, znajdź jednak na jego dnie uśmiech. (...) Uśmiech jest wielkim szczęściem bardzo biednych, którzy sami już go w sobie znajdują. Uśmiech jest złotym dzieckiem miłości...”

ELŻBIETA DERELKOWSKA

Polacy zawsze kochali się w koniach, a historia naszej Ojczyzny dowodzi, że konie — zawsze były nam, Polakom, potrzebne. Potrzebne, cenione i — darzone ogromnym sentymentem. Niejeden znawca piękna twierdzi dziś, że najpiękniejsze na świecie są dwie rzeczy: piękna kobieta w tańcu i czystej krwi koń w biegu...

Sympatyków i miłośników koni czystej krwi jest nie tylko w Polsce, ale na całym świecie wielu. Najpiękniejsze zaś konie — to konie czystej krwi arabskiej, dla których Polska stała się drugą ojczyzną, dzięki swym warunkom klimatycznym i zaangażowaniu zapalonych hodowców. Największa zaś stadnina koni arabskich mieści się Janowie Podlaskim, a historia jej datuje się od roku 1817.

Pierwsze konie w Janowie pochodziły ze stajen carskich i — najprawdopodobniej — były to konie półkrwi, z domieszką krwi koni angielskich i arabskich. Po wybuchu I wojny światowej wszystkie konie i pracowników stadniny ewakuowano w głąb carskiej Rosji do guberni charkowskiej. Żaden z tych koni więcej do Janowa nie wrócił.

Do początku XX wieku hodowla czystej krwi arabskiej prowadziła w Polsce jedynie w dużych majątkach wschodniej Polski. Polskie konie arabskie brały udział w tworzeniu różnych ras i typów koni w wielu krajach, a gdy w roku 1912 Lady Wentaorth zakupiła w Polsce ogiera Skowronka — jego potomstwo zasłynęło na wszystkich kontynentach. Sam Skowronek zyskał miano najlepszego ogiera arabskiego na świecie!

Tymczasem stadnina janowska kontynuowała tradycje hodowli koni arabskich, dochodząc do coraz lepszych rezultatów i w końcu uzyskując światową renomę. Organizacją hodowli koni czystej krwi arabskiej w Polsce zajęło się powołane w 1926 r. Towarzystwo Hodowli Konia Arabskiego. Na podstawie dokumentacji hodowlanej sprzed 1914 r. opracowało ono „Polską Księgę Stadną Koni Arabskich Czystej Krwi”. Do kolejnych tomów księgi, wydawanych co kilka lat, rokrocznie wydawane są dodatki. Tak prowadzona księga stała się wzorcowym dokumentem dla wielu hodowli koni arabskich poza granicami Polski. Księga ta prowadzona jest do dziś i uznawana przez wszystkie towarzystwa i związki, zajmujące się hodowlą koni czystej krwi arabskiej na całym świecie. Drugim osiągnięciem Towarzystwa Hodowli Konia Arabskiego było zorganizowanie — począwszy od 1926 roku — wyścigów dla koni arabskich. Dziś wyścigi te kontynuowane są w Warszawie na torze służewieckim, który — budowany z olbrzymim rozmachem i wyprzedzeniem w czasie — otwarty został w roku 1937.

Wydarzeniem olbrzymiej wagi dla hodowli arabskiej czystej krwi w Polsce w okresie międzywojennym i wyraźnie rzutujące na hodowlę po wojnie, nie tylko w Polsce, była wyprawa zorganizowana przez Romana Sanguszkę

(właściciela majątku i stadniny Gumniska koło Tarnowa) w 1930 r. na Półwysep Arabski — właściwą ojczyznę konia arabskiego. Bogdan Ziętarski, wysłany przez Sanguszkę na wyspę Bahrain, zakupił i przywiózł do Polski kilka ogierów i klaczy. Jednym z nich był ogier Kuhailan Haifi. Ten gniady ogier stacjonowany w stadninie Gumniska, w połączeniu z janowskimi klaczami, ugruntował ród męski z kilkoma odnogami poprzez Wielkiego Szlema, Witraza i Witezia III. Pomimo doskonałej opieki weterynaryjnej padł jednak po dwóch latach, lecz jego syn — Ofir — urodzony w Janowie w 1933 r. — był najlep-

szym ogierem urodzonym w Polsce międzywojennej, i który zapoczątkował w Janowie linię męską odgrywającą wielką rolę w hodowli koni arabskich na całym świecie.

W czasie działań wojennych w 1939 r. zginęło ponad 80% janowskich koni. Pod naciskiem napierającej w lecie 1944 r. armii radzieckiej Niemcy wywieźli stadninę, wraz z polskimi masztalerzami, do majątku wojskowego w Saksonii, w pobliżu Drezna. W lutym 1945 r. nastąpiła dalsza ewakuacja janowskiej stadniny — do Targu nad Łabą — a w marcu tegoż roku — do Nattelau, położonego 16 km na

południe od Kilonii. Tam stadnina doczekała się końca wojny i kapitulacji Niemiec.

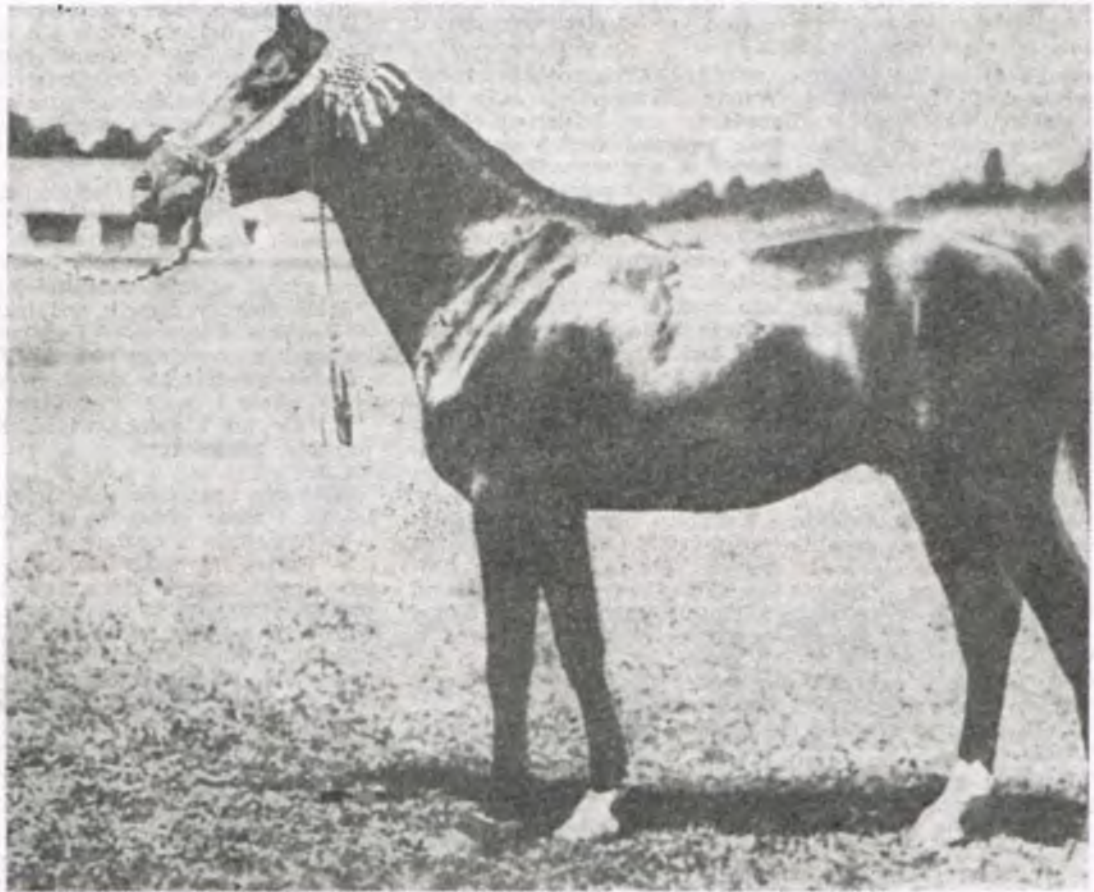
Utworzony samorzutnie z polskich oficerów zwolnionych z obozów jenieckich Zarząd Stadnin Polskich w Niemczech przejął wszystkie konie hodowlane, wywiezione z Polski przez okupanta. Po negocjacjach władz alianckich z Ministerstwem Rolnictwa w Warszawie polskie konie państwowej hodowli, między innymi janowskie, powróciły do Polski jesienią 1946 r.

W 1958 r. nastąpił pierwszy eksport 5 klaczy arabskich do krajów zachodnich. Wyeksporto-

wał również jego potomstwo, dzięki czemu utarło się przekonanie że Bask ustanowił „nowy standard rasy arabskiej”.

Ocena polskich koni arabskich u ich hodowców za granicą jest wysoka, ale ze względu na rosnącą konkurencję ze strony hodowców w innych krajach musimy hodować konie coraz lepsze, szlachetniejsze, bardziej urodziwe i równocześnie odpowiednio je reklamować. Dobrze służą temu wystawy, pokazy i championaty organizowane w Europie. Najwyższej rangi pokazem jest rokrocznie organizowany w Paryżu, w grudniu, „Salon Konia” oraz wystawa w

Araby z Janowa Podlaskiego



Ogier Kuhailan Haifi — oryginalny arab czystej krwi, importowany do Polski w roku 1931

szym ogierem urodzonym w Polsce międzywojennej, i który zapoczątkował w Janowie linię męską odgrywającą wielką rolę w hodowli koni arabskich na całym świecie.

Do wybuchu II wojny światowej konie arabskie czystej krwi i półkrwi (anglo-arabskiej) chowane w Janowie osiągnęły bardzo wysoki poziom i były cenione przez zagranicznych i krajowych hodowców.

W czasie działań wojennych w 1939 r. zginęło ponad 80% janowskich koni. Pod naciskiem napierającej w lecie 1944 r. armii radzieckiej Niemcy wywieźli stadninę, wraz z polskimi masztalerzami, do majątku wojskowego w Saksonii, w pobliżu Drezna. W lutym 1945 r. nastąpiła dalsza ewakuacja janowskiej stadniny — do Targu nad Łabą — a w marcu tegoż roku — do Nattelau, położonego 16 km na

wane konie zdobyły wówczas duże uznanie u hodowców koni arabskich w Anglii i w USA. Ta dobra opinia o polskich koniach w fachowych pismach na Zachodzie spowodowała w 1960 r. przyjazd do Polski kupców z USA, którzy nabyli 8 koni arabskich czystej krwi, w rok później — 16 koni, a w roku 1963 — 43 konie.

Polskie araby sprzedane z Polski do USA zaczęły zdobywać najwyższe nagrody na licznych wystawach, dzięki czemu wzrosła ich popularność, a ceny — gwałtownie rosły. W tym czasie największą sławą cieszył się w USA syn Ofira — Witez II, przywieziony do USA przez armię amerykańską z Niemiec. Ogromny rozgłos zdobył też za Oceanem ogier Bask — wnuk Ofira, sprzedany z Janowa w 1963 r. Zdobył on championat Stanów, i utrzymywał go przez kilka kolejnych lat. Championaty zdobywa-

Akwizgranie. W Paryżu konie naszej janowskiej hodowli zdobywały kolejno championaty: 1979 r. — klacz Enklawa, w 1981 — klacz Pilarka, w 1982 — Etruria, w 1984 — Arra.

Na coroczne aukcje do hodowli w Janowie przyjeżdża kilkuset hodowców i miłośników koni arabskich z całego świata. Są wśród nich ludzie znani na całym świecie z estrady, filmu, wielkiego „biznesu”. Niektórzy z nich przyjeżdżają tu tylko popatrzeć, inni — kupując janowskie klacze lub ogiery, płacąc za nie setki tysięcy dolarów... Czy ta wysoka ocena hodowli koni w Janowie Podlaskim i jej znaczenie w hodowli światowej utrzyma się nadal — zależy nie tylko od hodowców koni arabskich w Polsce, ale również od koniunktury gospodarczej i sytuacji politycznej na świecie.

Opr. E. L.



W nastroju wakacyjnym

GAFY i anegdoty

Wybór wakacyjnej lektury przysparza niekiedy pewnych trudności. Czasem mamy ochotę zagłębić się w poważnych treściach, czasem chętnie przeczytalibyśmy „coś” lżejszego, bywa też, że z równym powodzeniem łączymy lekturę obu rodzajów książek z prawdziwą przyjemnością dla ducha, humoru i intelektu.

Biorąc to wszystko pod uwagę po przeczytaniu arcyinteresującej, obyczajowej wprawdzie, ale nie pozbawionej psychologicznych podtekstów „Zmii w garści” Bazina sięgnęłam po opublikowane w 4. numerze Poezji anegdoty literackie i „Gafy” Stefana Garczyńskiego wydane przed kilkoma miesiącami nakładem wydawnictwa „Alfa”.

Przystąpiłam do nich z niemalym entuzjazmem, zwłaszcza że zapowiedź intelektualnego relaksu już od pierwszych chwil wydała mi się wielce obiecująca.

Zasługa to wielka autorów, wśród których można znaleźć nazwiska Zofii Bystrzyckiej, Wandy Chotomskiej, Jana Korprowskiego, Włodzimierza Słobodnika czy Zdzisława Łączkowskiego, nade wszystko jednak twórców owych przezabawnych sytuacji czy dialogów którzy w tym wypadku całkiem niezamierzenie wpisali swe imię do historii polskiej anegdoty.

Lektura tych wyjątkowych, acz niekiedy wielce humorystycznych i nie pozbawionych pikanterii wydarzeń, zmniejsza nagle dystans, jaki zwykle dzieli „wziętego pisarza” czy inną osobistość od przeciętnego śmiertelnika, a to głównie dlatego, że „odkrywa” człowieka, jego reakcje w mniej czy bardziej zaskakujących sytuacjach. A że życie nie skąpi na ogół podobnych okazji, więc i zabawa jest przednia, jak chociażby w przytoczonej historii.

Rzecz całą relacjonuje dokładnie profesor Waclaw Kubacki w swoim „Dzienniku z lat 1944—1968”, z którego to dowiadujemy się o zupełnie „nadzwyczajnym” wydarzeniu, jakie miało miejsce w czasie Kongresu Nauki Polskiej w roku 1951.

Oto bardzo ospałą atmosferę Kongresu ożywiło przewidziane w programie, acz zupełnie nie przewidziane z racji swego przebiegu, wystąpienie poety Adama Ważyka. Prelekcja, która wygłaszał autor dotyczyła narodowej wersyfikacji Adama Mickiewicza, i była mówiąc delikatnie cokolwiek za długa. Ważek nie zamierzał jednak streszczać rozprawy nawet w obliczu rozlegających się w sali prośb.

Kiedy jednak w sali dało się słyszeć nasilające się tupanie słuchaczy, przerwał wykład i powiedział do zebranych:

— Jeśli państwo nie chcecie słuchać też Stalina o języku, to trudno.

Wówczas siedzący w pierwszym rzędzie krzeseł spokojny i flegmatyczny zazwyczaj profesor Tadeusz Lehr-Spławiński zerwał się nagle, podbiegł do stołu prezydyjnego i zawołał podnieconym głosem:

— My chcemy słuchać Stalina. My nie chcemy słuchać Pana.

A oto inny przytoczony tym razem przez Jana Marię Gisesa opis niezwykłego wydarzenia, tym razem z polowania. Bohaterami są myśliwy Jerzy Pomianowski, poeta Antoni Słonimski i oczywiście... dzik.

Taki dzik wyszedł był na jednym z polowań prosto na pana Pomianowskiego.

Wytrawny myśliwy strzelił, ale ranił jedynie zwierze, co było nadzwyczajnie niebezpieczne. Wtedy pan Pomianowski zdając się na zapamiętane z podręcznika myśliwskiego rady, wskoczył dzikowi na grzbiet i wbił nóż w lewą komorę serca zwierzęcia. Odnieć padł jak rażony gromem — skomentował ów fakt pan Pomianowski. A na to Antoni Słonimski:

— Dzik o tym zupełnie inaczej opowiadał.

Wielka pisarka Zofia Nałkowska, zwana „pierwszą damą polskiej literatury” jest bohaterką anegdoty opowiedzianej przez Jana Brudnickiego.

Wynika z niej, że „niedługo po wojnie redakcja jakiegoś słownika czy podręcznika natrafiła na trzy różne daty urodzenia Zofii Nałkowskiej”. Ponieważ jednak żadna z podejmowanych prób ustalenia dokładnej daty nie dawała rezultatu, po-

stanowiono zwrócić się bezpośrednio do pisarki. Misję powierzono „hetmanowi ówczesnych krytyków” Stefanowi Żółkiewskiemu. Przy pierwszej nadarzącej się okazji przeprosił on wielką damę literatury i powoławszy się na źródła, podające trzy różne daty jej urodzenia, poprosił o wskazanie, która z nich jest prawdziwa.

Nałkowska mocno zdziwiona odrzekła z czarującym, właściwym sobie uśmiechem:

— Ależ, panie Stefanie, wszystkie, oczywiście, że wszystkie są prawdziwe...

Nie mniej zabawne zdarzenie znajdziemy w „Gafach” Stefana Garczyńskiego. Złożą się na nie „byki i byczki” korektorskie, szczególnie „zręczne” tytuły z gazet i czasopism, prześmieszania, i błędne odczytania, dwuznaczności i rozmaite inne pomyłki. Ot, jak chociażby ta opowiedziana przed laty przez wspaniałego artystę ilustratora Jana Marcina Szancera, który niegdyś był uczestnikiem wizyty przyjaźni polskich uczonych i artystów w Berlinie.

„Na drugi dzień — wspomina Jan Marcin Szancer — ma się zacząć program naszych zajęć. Przewidziano spotkanie w Akademii Nauk, przemówienie ma wygłosić Bertold Brecht. Zbieramy się więc w holu hotelowym, obok nas gromadzą się inne grupy, czekają podobnie jak my na przewodników. (...)”

Jakiś nieduży facecik podbiega do nas i mówi po polsku: — Panowie delegacja — i natychmiast prowadzi nas do oczekujących na parkingu samochodów.

Jedziemy strasznie długo. Wydaje nam się, że ciągle krążymy wokoło i nagle wjeżdżamy za miasto w pejzaż.

(...) ale już z daleka widać, że to zabudowania raczej folwarczne, gospodarcze.

(...)

Wita nas uroczyście delegacja ubrana na czarno, bardzo nobliwie. I zaraz prowadzą do pierwszego baraku.

To była krowia obora (...)

— Pozwolimy sobie panom na wstępie pokazać naszą metodę inseminacji, która daje znakomite wyniki — zaczyna pan wyglądający na dyrektora i przerywa w pół słowa, bo widzi, że Schiller szczerwieniwał, jakby go miała tknąć apopleksja, a Andrzejewski aż oparł się o moje ramię. W tym momencie usłużny fotograf pstryknął zdjęcie...

— Czy w Polsce nie stosuje się tego zabiegu? — pyta niespokojny dyrektor.

— Nie! — odpowiada głośno Leon Schiller.

— Ależ dlaczego? — dziwi się dyrektor.

— Krowy się nie zgodziły — mówi już teraz uśmiechnięty Schiller.

— Więc panowie nie jesteście agrotechnikami? Ach, cóż za fatalna pomyłka! Panowie wsiedli do aut innej delegacji, zaraz to naprawimy — mówi zaskoczony Niemiec.”

Tymczasem agrotechnicy słuchali w pocie czoła wykładu Bertolda Brechta w Akademii Nauk...

Redakcyjny „chochlik” splatał figla przedwojnemu „Expresowi Porannemu”, który szykował właśnie sprawozdanie z otwarcia wystawy drobiu i zwierząt futerkowych w ogrodzie na Bagateli. Okazała wystawę postanowił „Expres” uczcić specjalnie wyszukany tytułem. Wspaniałe okazy zwierząt futerkowych aż prosiły się o taki tytuł.

Toteż nazajutrz poczytny „Expres” donosił: „Skrzydłaci i futerkowi dygnitarze na wystawie drobiu”.

I wszystko byłoby w porządku, gdyby pod wzniosłym tytułem nie umieszczono nieopatrznie fotografii przedstawiającej komitet wystawy z prezydentem miasta na czele. Jeszcze tego samego dnia redaktor naczelny pisma usłyszał w słuchawce głos prezydenta Starzyńskiego:

— Tu Starzyński — powiedzcie — za jakiego dygnitarza mnie uważacie, za skrzydłatego czy za futerkowego?

Redakcja nie ucierpiała — etat został zachowany. A gafa przeszła do historii...

ELŻBIETA DOMAŃSKA

Kto pierwszy odpowie, z jakich utworów Kornela Makuszyńskiego pochodzą fragmenty utworów — dostanie nagrodę! Napiszcie do nas tytuły tych utworów!

1

Wszystkie mądre polskie kozy
By je zliczyć nie mam siły!
Na naradę się zebrały
I rzecz taką uchwaliły:

Któraś koza albo kozioł,
Jakaś bardzo mądra głowa,
Aby podkuć się na próbę,
Musi pójść do Pacanowa!

2.

Małp rozliczne są rodzaje,
W rozmaitych świata stronach,
Są i takie, co najchętniej
Kołyszą się na ogonach.

Fiki-Miki się wywodzi
Właśnie z takich małek rodu,
Co wesoło wśród drzew buja,
Od poranka do zachodu.

3.

Mam ja bowiem w mojej głowie
Opowieści tych bez liku,
Więc też wkrótce wam opowiem
O Twardowskim — czarowniku.

Zanim wszystko to napiszę,
Usłyszycie tego roku
Bardzo groźną opowiestkę
O wawelskim smoku.

4.

Pamiętacie króla Kraka,
Co był głośny z sławnych czynów?
Miał on córkę, śliczną Wandę
I miał dwóch dorodnych synów.

Wtem z Wawelu wieść przylata
Jakby głos czarnego ptaka:
„O, nieszczęście, o, nieszczęście!
Nie masz, nie masz króla Kraka!”

Już na wieki zamknął oczy,
I już słowa nie wypowie.
Płacze po nim córka Wanda,
Płaczą po nim dwaj synowie.

5.

Był to kміeć dostojny wielce,
Bardzo czczony w swej ziemiacy,
Cichy, dobry, Piastem zwany,
Pilny oracz spod Kruszwicy.

Żonę zaczął miał Rzepichę,
Co na licu się rumieni
Jak poranna jasna zorza,
Albo jabłko na jesieni.

Syn lat siedem skończy właśnie
w czas wiosennych sianokosów.
I jak zwyczaj każe stary
Nie mógł mieć obciętych włosów.

A więc — czekamy; Pamiętajcie: autor — Kornel Makuszyński, a jakie tytuły utworów — Wy nam napiszcie!



Eugenia Kobylińska



(11)

Zbyszek na pauzie zachowywał się tego dnia niby bizon w preriach, żeby pokazać, ile w nim wigoru i krewkości, ale opozycja nie była skłonna do zachwytów. Opozycja nigdy nie jest skłonna do uznania dobrych stron przeciwnika, szczególnie, jeżeli ten przeciwnik chwilowo należy do sfer rządzących. Biedny Kowalecki nagle doszedł do przekonania, że on sam, na własną rękę, powinien zmajstrować jakiś czyn szczególny, żeby zmusić do posłuchu swoją bandę. Aż zachłysnął się tą myślą i stanął jak wryty pośrodku korytarza, ryczącego na kształt burzliwego morza. Miotaly się po nim drobne fale uczniów klas młodszych i niby wielkie bałwany przebiegali tam i z powrotem uczniowie licealni. Mały blondasek aż pięści zacisnął, gdy jeden taki dryblas go potrafił i sapnął:

— Z drogi, knocie!

O, żeby to pokazać im wszystkim, co on wart. Żeby nie mówili, że mama go wysadza.

Dzwonek. Dzwonek. Zaraz historia. Zbyszek właściwie ma iść po mapę. Pędzi po schodach na pierwsze piętro i nieśmiało wchodzi do małego pokoju, który przylega do większego, pełnego dymu od papierosów i przedlekcyjnych pogwarek nauczycieli. Zaraz i tam się rozlegnie dzwonek terkoczący nad drzwiami i nauczyciele też będą zmuszeni pójść na lekcje. Oni też pewnie się lenią, tylko udają, że są tacy wielcy — żył ma się Zbyszek, związając odnalezioną mapę. Wychodzi na korytarz z tego bocznego pokoju i nagle przekręca klucz w zamku. Jakoś automatycznie. Zbacza na prawo, przechodzi mimo drzwi głównego pokoju, gdzie gwarzy Rada Pedagogiczna i... również przekręca klucz w zamku. Stało się. Teraz, jak ptak spłoszony, rzuca się do ucieczki po schodach, w górę, dzierżąc swoją mapę w rękę, podobny do rycerza z włócznią przed decydującą bitwą. Przynajmniej tak Zbyszek myśli o sobie. Poświęcił się dla dobra ogólnego. Dał nieszczęsnym uczniom, tym ofiarom losu, parę minut spokojnego życia, zanim uwiecznione zeksy nie wydobędą się z pułapki. W klasie kilku chłopców wyrывa mu mapę z rąk. Chcieli oni przed groźną chwilą zorientować się w górach Grecji, a zresztą i pani od polskiego kazała odnaleźć na mapie Itakę. Dyżurny zamknął drzwi klasy, żeby matoly zdążyły nauczyć się, czego trzeba, a reszta uczniów starała się o jak największy harmider ku utrapieniu Żynika, sprawującego swoje obowiązki z namaszczeniem.

— Co to jest, że „historia” nie przychodzi? — nagle zapytał Wojtecki. Może lekcji nie będzie?

Kowalecki drgnął na swojej ławce. Zaczynało się. Aż mu oddech zapało, jak na huśtawce.

Lolek Janik wyjrzał na korytarz. Pusto. Przez sąsiednie drzwi po lewej i prawej stronie wyglądały zmierzwiłone głowy zaciekawionych sztubaków.

— Halo! Zeksy się spóźniają — krzyknął jeden z I d. Co jest?

— Chwała Bogu! — odkrzyknęło z I a. — Na zdrowie.

Ośmieleni malcy powyłazili na korytarz. — Rety! Ani jednego zeksa. Wymiotło ich. — Może dyrektor ma na dole przemowę? Raz tak było. O cztery minuty wszyscy się spóźnili.

— Już pięć.

Na zakręcie korytarza ukazali się zaciekawieni młodzieńcy licealni.

— Hej, tam, pierwszaki! Czy do was też nikt nie przychodzi? Bo mieliśmy pisać klasówkę. Co za granda?

— Skończenie świata — nadbiegł zadyszany czwartoklasista. — Bezkrólewie. Ktoś zamknął pokój nauczycielski. Zeksy strasznie łomoczą do drzwi, a dyrektor krzyczy przez okno na woźnych.

— I co? I co? — Kowaleckiego oblał gorący war.

— A no nie ma kluczy. Nie ma ich przy drzwiach. Oni będą musieli wychodzić po drabinie przez okno czy co?

Biedny Zbyszek omal nie zemdlał. — Jak to nie ma kluczy? A przecież on je zostawił w drzwiach. Więc jakaś nieczysta siła dokończyła jego roboty?

Ale to wszystko pójdzie na jego konto. Zwiększy się odpowiedzialność. Pogorszy się jego położenie w razie czego. Oto już lawina uczniów stacza się po schodach na dół i oblega pokój nauczycielski. Zjawiają się zmobilizowani woźni i odpierają sztubaków.



Rozmowy z Czytelnikami

Coraz częściej nasi Czytelnicy interesują się problemami teologicznymi oraz ich powiązaniem z Objawieniem Bożym. Świadczy o tym również list w którym p. Stanisława M. z Zamościa pisze: „Chociaż jestem rzymskokatoliczką, systematycznie kupuję i czytam tygodnik „Rodzina”. I przyznać muszę, że dzięki lekturze tego czasopisma znacznie podbudowałam swoją świadomość religijną oraz pogłębiłam znajomość Pisma Świętego. Jednak nasuwają mi się pewne wątpliwości, o których wyjaśnienie proszę.

Z dotychczasowej lektury Waszego tygodnika wynika, że pośrednikiem między Bogiem i ludźmi jest nie tylko Jezus Chrystus. Bowiem wstawiają się za nami u Boga również Maryja i święci. Wydaje mi się jednak, że jest to błędem. Bo według nauki św. Pawła, „On jest pośrednikiem nowego przymierza, ażeby gdy poniesiona została śmierć dla odkupienia przestępstw popełnionych za pierw-

szego przymierza, ci, którzy są powołani, otrzymali obiecane dziedzictwo wieczne” (Hbr 9, 15)... Ponadto wydaje mi się, że Jezus nie był jedynym synem Maryi. Czytamy bowiem w Ewangeliach św. Matczusa: „Gdy On jeszcze mówił do tłumów, oto matka i bracia jego stanęli na dworze, chcąc z nim mówić” (Mt 12, 46). Tak też uczą Kościoły ewangeliczne.

Uważam, że Maryja zasługuje na specjalny szacunek z uwagi na fakt, iż wybrana została przez Boga na matkę Zbawiciela świata. Nigdzie jednak w Objawieniu nie spotykamy wzmianki, że należy Ją wielbić oraz prosić o orędownictwo u Boga. Nie oddawała przecież czci Maryi Elżbieta podczas nawiedzenia... Również ewangeliści nie wspominają, by Jezus kiedykolwiek zwracał się do Maryi słowem: „Matko!” Wiadomo natomiast, że w Kanie Galilejskiej powiedział do Niej „Czego chcesz ode mnie, niewiasto? Jeszcze nie nadeszła godzina moja” (J 2, 4)... Również zwracając się do Niej z krzyża, powiedział: „Niewiasto, oto syn twój!” (J. 19, 26). Także apostołowie nie okazali Maryi specjalnej czci, gdy po wniebowstąpieniu Chrystusa przebywała wraz z nimi w Wieczerniku. Czy wobec tego okazywanie Maryi szczególniejszej czci i wzywianie Jej orędownictwa nie jest sprzeczne z nauką objawienia?...

Szanowna Pani Stanisłavo! Przyjemnie jest nam dowiedzieć się, że lektura naszego czasopisma pomaga Czytelnikom w pogłębianiu znajomości prawd objawionych, a tym samym podbudowuje ich świadomość religijną. Zdajemy sobie sprawę, że niektórzy Czytelnicy nie we wszystkim zgadzają się z nami. Czuję się jednak zobowiązany przypomnieć, że „Rodzina” jest tygodnikiem katolickim. Stąd też

na jej łamach wyjaśniamy Pismo Św. zgodnie z tradycją pierwszych wieków Kościoła oraz zasadami egegezy katolickiej. Pamiętamy bowiem o namomnieniu Zbawiciela, zawartym w słowach: „Jeżeli wytrwacie w słowie moim, prawdziwie uczyniami moimi będziecie i poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli” (J 8, 31—32).

Ponadto raz jeszcze chciałbym z całym naciskiem przypomnieć, że według nauki katolickiej (mającej oparcie w Biblii) Jezus Chrystus jest jedynym synem Maryi. Nie miał więc — jak chcieliby niektórzy — braci i sióstr. Stąd też nie możemy zmienić zdania w tym względzie. A ponieważ wielokrotnie temat ten był poruszany w naszym czasopiśmie, nie uważam za wskazane dłużej się nad nim rozwodzić. Dodam może tylko, że Izraelici na określenie kuzynów używali słów: „brat” — „siostra”. Bowiem język aramejski nie zyskał dokładniejszych określeń.

Całkowicie zgadzam się z Panią, że w Piśmie Św. nie ma nigdzie wyraźnej wzmianki, iż należy Maryi oddawać cześć i zwracać się do Niej o orędownictwo u Boga. Praktyka oddawania Maryi czci wynika z faktu, że jest Ona matką Jezusa Chrystusa jako człowieka. Skoro bowiem oddajemy cześć świętym, jako wiernym sługom i przyjaciółom Boga, wypada Maryję postawić w tym względzie na pierwszym miejscu. Trudno też przypuszczać, by Bóg—Człowiek mógł odmówić jakiegokolwiek prośbie swojej Matki. Tak więc prośby o orędownictwo Maryi mają swoje uzasadnienie.

Uważam również za wskazane przypomnieć, że — wbrew temu co Pani pisze — Elżbieta

pouczona przez Ducha Świętego, oddała Maryi cześć, jako matce Boga. Zwracając się bowiem do Niej podczas powitania, powiedziała: „A skądże mi to, że matka mojego Pana przyszła do mnie?” (Łk 1, 43). Matka Jana Chrzciciela, jak to jednoznacznie wynika z przytoczonych słów, jest zaskoczona wyróżnieniem, jakie ją spotkało. Uważam też za wskazane podkreślić, że wyrażenie „Pan” służyło Izraelitom na określenie Boga. Również słowa Chrystusa, którymi zwrócił się On do Maryi w Kanie Galilejskiej oraz podczas męki na krzyżu, nie świadczą wcale o Jego braku czci dla Matki. Formą „niewiasto” posługiwali się bowiem mężczyźni narodów semickich, przemawiając do najbliższych im niewiast. Był to po prostu, podniosły, uroczysty sposób zwracania się do nich. Zgadzam się również z tym, że Dzieje Apostolskie ani razu nie wspominają, by apostołowie po wniebowstąpieniu Chrystusa okazywali Maryi specjalną cześć. Sądzić jednak należy, że taka była w tym względzie wola Bożej Rodzicielki, która przez całe swoje życie pozostała tylko pokorną „służebnicą Pańską”. Także i ewangelie mówią o Niej bardzo mało. Nie można jednak przypuszczać, by było to dziełem przypadku. Warto może jeszcze przypomnieć, że stosunkowo bardzo wczesnie — gdyż już w IV wieku — spotykamy w Kościele uroczystości ku czci Bogarodzicy.

Moje pozdrowienia dla Pani i pozostałych Czytelników pragnę wyrazić słowami Apostoła: „Łaska Pana Jezusa Chrystusa i miłość Boga (Ojca), i społeczność Ducha Świętego niech będzie z wami wszystkimi” (2 Kor. 13, 13).

DUSZPASTERZ

PORADY

Gdyby wszyscy zdawali sobie sprawę ze szkodliwych działań nikotyny na organizm, nie braliby papierosa do ust — szczególnie zaś kobiety.

Może to zaobserwować każdy palący. Kto dużo pali — poci się bardziej od niepalących. Jego serce wykonuje 20 uderzeń na minutę więcej. Papierosy są winne temu, że skóra szybciej się starzeje, a głos niekorzystnie zmienia. Twarz kobiety palącej nałogowo wygląda znacznie starszej od kobiety niepalącej, jej rówieśniczki. Przyczyną tego jest długotrwałe, nieraz trwające latami niedotlenienie tkanek, również spowodowane działaniem nikotyny.

Palacze często mówią, iż zdaje się im, że są na dużych wysokościach, szybciej też „wysiadają” przy wykonywaniu większego wysiłku fizycznego. Przyczyną tego jest tlenek węgla, czad — trujący gaz, którego w dymie papierosowym jest 600 razy więcej, niż dopuszczają nor-

my w przemyśle! Tlenek węgla przenika do krwi i łączy się z czerwonymi ciałkami znacznie szybciej od tlenu. Dlatego właśnie 10% czerwonych krwinek, które powinny przynosić tlen, zablokowanych jest u palacza przez tlenek węgla. Nic więc dziwnego, że nawet tam, gdzie tego tlenu jest dość, organizm palaczy odczuwa niedotlenienie.

Kobiety palące rodzą niemowlęta o 170 g lżejsze niż matki niepalące. Częściej też zdarzają się wśród palących poronienia.

Nałogowi palacze, wypalający dziennie 20 papierosów, wydychają rocznie filiżankę smoły. Osadza się ona w postaci drobniutkich kropelek między ustami a pęcherzykami płucnymi. Zawierają one rozmaite substancje, o których wiadomo, że są odpowiedzialne — same lub razem z innymi czynnikami — za powstawanie nowotworów.

Smoła i dym papierosowy podrażniają niezwykle narządy oddechowe powodując wydzielanie

ogromnej ilości śluzu, zatykającego wręcz z czasem przewody oddechowe. Palacze cierpią więc znacznie częściej i dotkliwiej na infekcje dróg oddechowych. Częściej u nich poranny kaszel też spowodowany jest działaniem ciał smołowatych.

Wskutek palenia ochronna warstewka śluzówki na strunach głosowych staje się grubsza, a głos bardziej basowy. Obrzęk wrażliwej błony może nawet doprowadzić do rozedmy płuc, przy którym to schorzeniu, zwłaszcza w jego późniejszym stadium, każdy oddech staje się męką. Drogi oddechowe zwężają się bowiem tak silnie, że płucem nie udaje się przy wydechu opróżnić z powietrza. Zmiany w pęcherzykach płucnych zmniejszają możliwość pobierania tlenu, co z kolei zmusza do szybkiego, męczącego oddychania.

Spośród wszystkich substancji, które w wyniku palenia zatrują organizm, nikotyna ma naj-

wyrażniejszy wpływ na przebieg procesów życiowych. 50 mg tej trucizny wystarcza, aby zabić człowieka, gdyby mu wstrzyknąć jednorazowo taką dawkę do krwi. Jest ona wprowadzana do ustroju na raty, gdy palący wypala dziennie 20 papierosów. Organizm daje sobie jednak radę z trucizną, ponieważ dostaje ją w ciągu kilkunastu godzin i ma czas przetrworzyć ją na mniej szkodliwe związki. Najciężej pracuje przy tym wątroba — narząd wskutek palenia bardzo obciążony.

Czy nie wystarczy tych wiadomości? Do przestraszenia chyba tak, ale czy do odstraszenia? W każdym razie na świecie coraz bardziej wchodzi w życie moda na niepalenie, coraz więcej jest miejsc publicznych, gdzie palić nie wolno. Na szczęście! Dla tych zaś, którzy chcieliby rzucić ten nałóg — dalsze porady w najbliższym czasie.

ed

Tego było za wiele. Croy-Dülmen skoczył, jakby skorpion na depnął.

— *Kreutzdonnerwetter!* (Do stu piorunów) — zaklął jak drakon. Jak mi pan jeszcze piśniesz słowo...

— To co? — prawil spokojnie medyk. — Ja się bić nie umiem, a spostrzeżenie fizjologiczne nie jest przecież obrazą. Pan hrabia rodzi się z Polki, to pewnik; że ród matki splywa bardzo silnie na dzieci, to drugi pewnik; a że pan bardzo do matki podobny, to trzeci! *Dixi* (rzekłem).

— A ja *dixi*, że wasze fizjologie to brednie, a wy sami stado wariatów! Jestem Niemiec i basta!

— Po ojcu prawdopodobnie!

— Jak to prawdopodobnie? — krzyknął młody człowiek czerwieniąc z pasji. — Śmiesz o mojej matce mówić podobny frazes!

— Mówię: prawdopodobnie, bo pani hrabina była Polką, a tamte kobiety są do prawdy podobne. Nasze damy — to co innego. Żeby na przykład hrabina Carolath miała syna, powiedziałbym...

— Daj mi spokój z hrabiną Carolath! Nie ciekawym tego, co powiesz! — przerwał niecierpliwie hrabia. — Idę do teatru. Zespecieciłeś mnie na wieki, a teraz prawisz brednie, które ci tylko dlatego darowuję, żeś stary! Niech piekło pochłonie chirurgię! Z wami razem, naturalnie! Urban, konie!

W teatrze piękny panicz w krzesłach i piękna pani w łoży zamienili krótkie, ale wymowne spojrzenia. Nie było na nic więcej czasu; ale koledzy wzięli w swój środek Wentzla; układano kolację z aktorami.

Dopiero w antrakcie hrabina Aurora zwróciła swój śliczny profil do drzwi łoży i powitała wchodzącego uśmiechem syreny.

Tysiące oczu patrzyło na nich, więc on się uklonił głęboko i usiadł naprzeciw niej.

— Wyglądali tak niewinnie jak stary radca z sędziwą ochmistrzynią dworu — zrobił półgłosem uwagę Wentzel.

— *Mauvais sujet* (Nicpoń) — upomniała go za koncept. — Czy wiesz, że ci ładnie z tą blizną, *heros balafre* (bohater z blizną na twarzy). Ale bić się nie było o co, doprawdy! Wiesz, ja bardzo lubię Polaków.

— Jakbyś znała choć jednego.

— No, chociażby ty, przez pół.

Rzucił się niecierpliwie.

— Znowu! Ja się dziś wścieknę chyba! Ja nie jestem, nie będę, nie chcę być Polakiem! Co się ludziom dzieje! Sprzysięgli się mnie torturować!

— A to się nie broń, jeśli chcesz, żeby ci dali pokój! *Le grand malheur!* (Wielkie nieszczęście!) Pogadają i ucichną. A jak będziesz się afiszował niemczyzną, to ci na złość będą dowodzili, żeś Polak z krwi i kości.

Pierwszy raz i zapewne jedyny zrobiła hrabina Aurora tak trafną uwagę, ale to nie rozmarzczyło czoła młodego człowieka.

Nie znalazł dla niej uśmiechu, gryzł niecierpliwie wąsy i kręcił brodę.

Trąciła go nieznacznie pantofelkiem.

— Powiem ci coś niemiłego, jeśli mnie nie będziesz bawił. Patrz, ty specjalista od ładnych twarzyczek, kto to nowy w łoży naprzeciw? Co za pyszne opale; Mówią, że to kamienie, *qui portent malheur!* (które przynoszą nieszczęście) Znasz tę damę?

Hrabia machinalnie podniósł oczy, spojrzał we wskazanym kierunku i aż się cofnął z podziwu. Damą w opalach nie był to nikt inny, tylko jego nieznanoma.

Ruch nie uszedł oka hrabiny.

— Ach, *comme tu prends feu!* (jak ty się zapalasz!) rzekła z dąsem.

— Nie wiedziałas o tym? — spytał z lekką ironią.

— *Monste!* (Potwór) — trąciła go znowu pantofelkiem. — Znasz tę damę?... Skąd ona?

— Z San Marino.

— Gdzie to jest? Na prowincji? We Włoszech?

— A gdzieś tam blisko! Nie pamiętam.

Opędzał się od pytań, a oczu nie spuszczał z łoży naprzeciw.

Nieznanoma nie była sama. Towarzyszyło jej dwóch mężczyzn; jeden stary, siwy — drugi młody, blondynek, z jeżowatą czupryną i swawolą w oczach. Rozmawiali z sobą poufale i, o dziwo, obywatelka spartańskiej republiki uśmiechała się lekko niekiedy, a chłopcu iskrzyły się do niej żrenice i co chwila błyskały białe zęby w serdecznej, obojętnej wesołości.

Wentzel Croy-Dülmen wciąż patrzył znosząc obojętnie impertynencje obrażonej hrabiny. Tupała nóżkami w wściekłości.

— *Tues d'une grossierete horrible!* (okropny z ciebie grubianin) Idź, przynieś mi cukierków! Nie polykaj jej oczami. Nie puszczaj cię! Nie masz prawa tam iść, rozumiesz? Nie pozwalam! Tam nie ma miejsca dla ciebie. Ten blondynek...

— Auroro! — szepnął z wyrzutem.

— Gdzieś ją poznał? Mów! Ze też tobie żadna nie ujdzie! Ach, wpakowałbym cię z przyjemnością na statek admirałski z rozkazem odwiedzania portów! Co to za jedna?

10

cdn

POZIOMO: A-1) szkoła wyższa, B-8) ukochany Ludmiły, C-1) ciemiężca, tyran, D-8) nierozłączka Jacusia, E-1) muza z aulosem, F-7) chronologiczny zestaw wydarzeń, H-1) ozdobne okienko w dachu, I-7) utwór fortepianowy zbliżony do divertimenta, K-1) koczownik, L-6) tytułowa bohaterka powieści L. Tołstoja, M-1) Wschód, N-6) odstępca, heretyk.

PIONOWO: 1-A) efekt fedrowania, 1-H) autor „Białego kła”, 3-A) o 23° od równika, 4-K) zew, 5-A) reformator religijny z XVI w. 5-G) opad atmosferyczny, 6-K) papiery urzędowe, 7-E) element telewizora, 8-A) biblijny statek, 9-D) tuzin tuzinów, 9-I) nie zdoła zesztytu, 10-A) poniżej nosa, 11-F) lek używany przez diabetyków, 13-A) turecka metropolia, 13-H) przepływa przez Irkuck.

Po rozwiązaniu należy odczytać szyfr (przysłowie ludowe):

(G-5, L-1, A-3, G-3, D-5) (A-3, K-13, I-8, K-5, L-7) (C-10, A-13, K-3) (G-9, M-3, B-11, H-4).

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „Krzyżówka nr 32”. Do rozlosowania: nagrody książkowe.

Rozwiązanie krzyżówki nr 21

„Cudzym rozumem daleko nie zajedziesz” (buriackie),

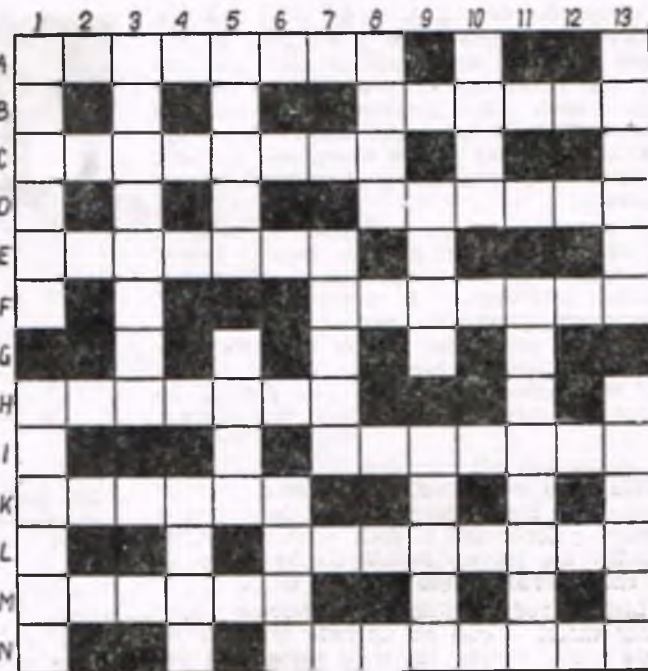
POZIOMO: kukielka, meczet, konklawe, natura, diagram, Euroazja, szalupa, Limpopo, dziwak, wyzwiśko, iluzja, szmaragd.

PIONOWO: kakadu, sędzia, konwalia, wiza, ekler, ruda, kwas, medal, amen, aura, mówka, ocet, Zapolska, strata, kobald.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki Nr 21 nagrody wylosowali: Anna Małaja z Czeladzi i Józef Bartnik ze Świdnicy.

Nagrody przesyłamy pocztą.

KRZYŻÓWKA nr 32



rodzina
TYGODNIK KATOLICKI

Wydawca: Spoleczne Towarzystwo Polskich Katolików, Instytut Wydawniczy im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Redaguje Kolegium. Adres redakcji i administracji: ul. J. Dąbrowskiego 60, 02-561 Warszawa. Telefon redakcji: 45-04-04, 48-11-20; administracji: 45-54-93. Wpłaty na prenumeratę nie przyjmujemy. Cena prenumeraty: kwartalnie 494 zł, półrocznie 988 zł, rocznie 1976 zł. Warunki prenumeraty: 1. dla osób prawnych i zakładów pracy — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach; — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; 2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów: — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”; 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Tawarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO BP XV Oddział w Warszawie Nr 1658-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy; Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — ad dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny; — do dnia 1-go każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawa skracania materiałów nie zamówionych. Druk PZGraf. Smolna 10/12. Nakład 15 000. Zam. 381. U-41.

MIEDZY USTAMI, A BRZEGIEM I PUCHARU

MARIA RODZIEWICZÓWNA

Szyderczy grymas przeszedł twarz Wentzla.

— Za taką ofiarę, mój skarbie, zachowam dla ciebie dożywotnią wdzięczność — rzekł z całym przejęciem.

Dopiero w drodze do Kirschühl pozwolił sobie w myśli na krytyczną uwagę:

— Ciekawym, co by Lidia zrobiła okropnego Wilhelmowi w razie mego zdraśnięcia. Pewnie pokazałaby mu język. No, no, już te damy nie bywają rozrzutne w pamięci o pokonanych! Trzeba imponować, albo nie istnieć! Imponujemy!

Nie udało mu się tak, jak sobie tego życzył.

Obu przeciwników rannych odwieziono do domu. Baron miał przebite ramię i rozcięty szpetnie prawy bok, Wentzel dostał cięnięcie przez głowę: bił się jeszcze, ale krew mu zalała oczy, a przeciwnik omdlał. Obwołano hrabiego zwycięzcą.

Nędzny to był triumf. Szpada rozplatała mu głowę i czoło do czaszki. Schoneich zastał go w szponach trzech chirurgów. Kłócili się po łacinie.

— Musi być znak — wołał jeden.

— Nie będzie przy zimnych okładach — przeczyli dwaj drudzy. Tu pacjent wmiszał się do rozmowy.

— Albo będzie, albo nie będzie. To się zobaczy przy końcu. Tymczasem róbcie początek, panowie.

— Rozsądne zdanie — potwierdził najstarszy medyk, przyjaciel domu hrabiego, zabierając się do roboty.

Schoneich powitał bohatera uśmiechem.

— Przyszedłem palić owe dokumenty — rzekł wesoło. — Czy ci

nie wstyd dać się opiętnować?

— Odbiję się na Assenbergu. Nie nauczył mnie jednego pchnięcia, osioł.

— Przy twym amatorstwie ufam, że się z czasem wykształcisz! Hu! Co to za szczerba! Będzie miał szramę na całe życie.

— Nie będzie przy użyciu zimnej wody! — poczęli wołać medycy.

Staremu doktorowi Voss drgnęła ręką z irytacji. Wentzel skrzywił się z bólu.

— Czego się gapisz! — krzyknął na Urbana. — Idź i uspokój panią we frontowym domu.

— Jaką panią? zagadnął udając naiwnego Schoneich.

Ciocia Dora spędziła dzień we łzach i modlitwie. Gdy karetka wróciła z dworca i zatrzymała się u lewego skrzydła, a do niej nikt nie przychodził, przemogła wstręt jaki czuła do tej części domu, i zbiegła sama po nowiny. Wszystkie drzwi zastała otworem. Służba była w ruchu. Dotarła niepostrzeżona aż do sypialni. Ujrzała swego chłopaka w pokrzwawionej koszuli, wokół krwawe szmaty, nad nim trzech rzeźników i Urbana, bladego jak ściana. Tylko Schoneich rozparty w fotelu kiwał się tu i tam, gwizdząc — a sam ranny dowcipkował po swojemu.

Staruszka już miała wejść, już podniosła nogę, gdy ją przykuł do podłogi żartobliwy głos barona.

— Doktorze, zacerujcie gładko, żeby piękne usta nie obraziły się na szramach.

Ciocia Dora zatuliła uszy dłońmi i uciekła z tego piekła. W takiej chwili — taka mowa! O, czasy! O, młodzieży.

W chwilę potem Urban ją uspokoił ze strony hrabiego, ale ona nie zdecydowała się na powtórne odwiedziny. Miała dosyć próby.

Stary doktor postawił na swoim. Szrama została pomimo zimnej wody i innych sposobów; rozcinała czoło wyraźną poprzeczną bruzdą.

Honor swój niemiecki opłacił Wentzel, a może piękne oczy nieznamoj dziewczyny odjęły mu zręczność i siłę.

Miał pamiętkę po owej burzliwej nocy. Kłął ją w duchu, gdy wreszcie wygojony stroił się pewnego wieczora do teatru.

Doktor Voss zjawił się właśnie na zły humor, a nie wiedząc o tym, począł burczeć na wybryki. W rezultacie pokłócili się okropnie: medyk z całą flegmą, Wentzel z ogniem wcale germańskim.

Voss potarł swą górną wargę, co robił zawsze, gdy miał wygłosić ważne zdanie, i rzekł:

— Pan hrabia jest niecierpliwy, nierozsądny, i nielogiczny... Typowy Słowianin.

Wysyłanie depezb powinno mieć miejsce jedynie w wyjątkowych sytuacjach. W grę może wchodzić np. niespodziewany przyjazd czy nagła zmiana terminu jakiegoś spotkania, czasem jakaś przykra okoliczność. Ale i w tych, o ile tylko obie strony dysponują telefonem, lepiej będzie skorzystać z usług centrali międzymiastowej i zamówić rozmowę.

Z depezbami mogą być bowiem kłopoty, zwłaszcza, gdy adresata nie będzie akurat w domu lub zaistnieją jakieś nieprzewidziane „zakłócenia” telekomunikacyjne. W pierwszym przypadku adresat po znalezieniu awizo musi udać się do właściwego urzędu pocztowego, zabierając dowód osobisty, w drugim wiadomość może dotrzeć do niego po czasie i będzie miał się nieco z pyszna.

Zdarza się też, że depeze wywołują u wielu osób odruch zdenerwowania, a więc lepiej ich nie nadużywać. Podobnie jest z listami poleconymi, których wysyłanie usprawiedliwiają jedynie nadzwyczajne — raczej o charakterze urzędowym — treści.

Listy z podziękowaniem za gościnę wysyłamy mniej więcej po upływie tygodnia od dnia naszej wizyty. Ich treść najogólniej powinna zawierać przychylną (a nawet entuzjastyczną) ocenę pobytu, nawiązanie do ewentualnych kłopotów, jakie uczyniliśmy swoją osobą w zestawieniu z wyrozumiałością i gościnnością gospodarzy, pochwalenie jakiejś nadzwyczajnej potrawy, którą nas uraczono, wspomnienie jakiejś miłej okoliczności, przeproszenie za poniesione trudności, serdeczne podziękowanie i, o ile znajduje to swoje uzasadnienie, uściski.

List z gratulacjami z okazji ślubu powinien być wysłany w ciągu ośmiu dni od dnia otrzymania wiadomości. Jego treść może być następująca:

„Kochana Basiu! Z całego serca gratuluję Ci zamążpójścia. Zyczę, by nowa droga życia, na którą wstąpiłaś, była Ci się różni. Nie miałam dotąd okazji poznać Twojego Męża, ale jestem pewna, że dokonałaś właściwego wyboru. Ko-



Jak pisać listy?

Depesze, podziękowania, gratulacje i...

niecznie musicie odwiedzić mnie, gdy tylko będziecie w moim mieście. Całuję Cię serdecznie i łączę najlepsze pozdrowienia dla Małżonki.”

Oczywiście przytoczony przykład nie musi oznaczać identyczności tekstu w podobnych sytuacjach. Słowa możemy dobrać przeciwieście dowolnie, oczywiście, w ramach pewnej zasady.

Gratulacje z powodu przyznanego odznaczenia mogą być bardziej oficjalne z tytułu samej okoliczności. Ich treść może być następująca:

„Szanowny Panie Profesorze! Serdecznie gratuluję odznaczenia (tu należy wymienić jego nazwę). Nikt tak jak Pan nie zasłużył na ten dowód uznania, toteż wiadomość ta szczerze mnie ucieszyła. Życzę dalszych świetnych osiągnięć. Z najgłębszym poważaniem — Jan Igrkowski.”

List z kondolencją wysyłamy w terminie do dziesięciu dni po otrzymaniu wiadomości. Przy czym treść tego zupełnie wyjątko-

wego listu powinna zaprzeczać wszelkim banalnym formom. List powinien płynąć z serca, a to nie jest łatwe. Wymaga bowiem wyczucia sytuacji. Wobec tego podaję dwa przykłady listów. Jeden oficjalny, drugi — bardziej otwarty.

„Wielce Szanowny Panie! Z prawdziwym żalem przyjąłem wiadomość o bolesnej stracie Pana Małżonki. Proszę przyjąć wyrazy bardzo szczerzego współczucia.”

oraz list z kondolencją do przyjaciela:

„Drogi Adamie! Wiadomość o stracie, jaka Cię dotknęła, poruszyła mną bardzo głęboko. Rozumiem, jak bardzo musiałeś to odczuć. Matka Twoja była naprawdę człowiekiem niezwykłym, najlepszym na świecie. Pozostanie na zawsze żywa w pamięci tych, którzy ją znali. Przyjmij wyrazy głębokiego współczucia i zapewnienie, że jestem sercem z Tobą.

Może mógłbym w jakiś sposób przydać Ci się w tych smutnych chwilach? Pamiętaj, że zawsze możesz na mnie liczyć. Sciskam Cię najserdeczniej.”

Zgodnie z savoir-vivrem listy z kondolencją wymagają odpowiedzi. Zdarza się jednak, że w takich sytuacjach adresat nie znajduje właściwych słów i nie czyni zańdość wymogowi. Nie należy w żadnym wypadku mieć mu tego za złe. Zresztą prawdziwi przyjaciele składając kondolencje na ogół nie oczekują podziękowań. Ich intencją jest bowiem zapewnienie pogrążonego w żałobie przyjaciela o ich życzliwości i sercu.

Te sprawy bywają jednak traktowane indywidualnie i ostatnio coraz częściej rodziny zmarłych proszą o nieskładanie kondolencji. Ta zasada może również dotyczyć korespondencji, a więc i tutaj nie czynmy nierozważnych kroków.